MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 24 WARSZAWA, 7 CZERWCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

HARMIDER ETYK

Od dawien trwa w nauce spór o to, czy istnieje jakaś powszechna moralność, jakiś trzon etyki, wspólny wszystkim czasom i miejscom. Nikt nie będzie przeciwny marzeniu, by wszyscy byli moralnymi, lecz odezwie się zaraz wątpliwość i zakołacze pytaniem: a na jakiż sposób mają być moralnymi ci „wszyscy"?

Trudno dotrzeć do jakiejś wspólnoty wobec niesłychanych rozbieżności, zawartych w olbrzymim materjale zebranym przez Bastiana, potem przez Westermacka, wreszcie przez ks. Cathreina i świeżo w wielkiem wydawnictwie podjętem przez ks. Wilhelma Schmidta, lub w pamiętniku luksemburskiego zjazdu (1929) etnologji religijnej. To już nie rozmaitość, lecz chaos! Zachodzą zaś trudności tem większe, iż zbyt znaczna część ludzkości bynajmniej nie opiera życia o religję. Buddyzm przeczył zawsze istnieniu Boga osobistego i wiecznego, a zatem nie przypuszcza też interwencji boskiej w wynagradzaniu lub karaniu ludzkich postępków. Uczony Ku-Hung-Ming objaśnił nas, jako „Chińczycy nie czują braku i potrzeby religji"; historyk zaś japoński zaznacza wyraźnie, że trudno określić, do jakiej religji należy który Japończyk. Jakżeż więc dopatrywać się powszechnych moralności elementów, jako działu religijnego?

Chociaż wykazano, że wszędzie świta jakieś, choćby niejasne, pojęcie Boga jedynego i nieśmiertelności duszy, lecz mimo to nie sposób wykazać istnienia ogólnego trzonu etyki poza granicami prostego rozsądku. Przestudjowanie zaś materjału etnologicznego doprowadza do pewnych wyników negatywnych. Np. okazuje się, że do najwyższych zasad ogólnych etyki powszechnej nie należy bynajmniej prawdomówność. Zresztą sam ks. Cathrein S. J., sławny profesor insbrucki, przyznał że „może niema takiej zbrodni, którąby nie uchodziła za cnotę gdzieś kiedyś u jakiegoś ludu". Mimo to poszukiwano gorliwie wspólności etycznych po całym świecie.

Mem zdaniem do tej „jedności" dadzą się wyłowić zaledwie cztery fakty. Potępienie kradzieży świadczy o powszechności własności osobistej a drugi fakt, karalność cudzołóstwa, stanowi zastosowanie szczegółowe pojęcia kradzieży, bo żona jest własnością mężowską: trudno wychwalać wyrządzanie szkody. Te same względy starczą, by potępić zdradę swego zrzeszenia, powszechnie przytaczany fakt trzeci. Ponieważ zaś na całej kuli ziemskiej — bez najmniejszego wyjątku — obowiązywał ustrój rodowy (większość świata tkwi w nim dotychczas), niezbędną jest dyscyplina względem rodziców i hierarchji rodowej „starszych", co stanowi czwarty i ostatni fakt rzekomej jedności etycznej. Wszystkie cztery stanowią po prostu wymagania utylitarnego rozsądku.

Rozpiętość w pojęciach o godziwości i niegodziwości jest tem większa, iż z biegiem czasu wyodrębniały się cywilizacje, a każda ma swoją etykę. Niemniej istnieją jednak pewne normy umysłowe, wspólne wszystkim etykom bez wyjątku, pewne pojęcia abstrakcyjne, które znajdujemy w każdej cywilizacji, tylko że z pojęcia wspólnego wysnuwa każda inne wnioski. Czyli innemi słowy: wspólną zasadę stosuje każda cywilizacja odmiennie, przyczem zdarzają się przeciwieństwa nawet diametralne. Na żaden piąty fakt w studjach etyki powszechnej nie natrafiono i wszystko kończy się tylko na pojęciach.

Czy to mało, czy dużo — możnaby się spierać. Według mnie abstrakty nami rządzą, a zatem we wspólności pojęć mieści się coś zasadniczego. Czy misje byłyby możliwe, gdyby nie znajdowano wszędzie pewnych analogicznych pojęć ogólnych? Ale przy wprowadzeniu katolickiej etyki chodzi o odmienne, niż dotychczas, stosowanie pojęć, już bądź co bądź istniejących.

Jest tych pojęć ogólno-ludzkich siedem: obowiązek, bezinteresowność, odpowiedzialność, sprawiedliwość, sumienie, tudzież stosunek do pracy i do czasu, ujmowane wszędzie w jakiś sposób. Są to generalja etyki.

W pojęcie obowiązku uzbrojona jest oczywiście wszelka etyka. Sięgnijmy po znamienne przykłady z różnych cywilizacyj. Braminizm i judaizm nakładają na swych wyznawców — a są to cywilizacje sakralne — istne sterty obowiązków formalistycznych, z czego powstają całe zwały grzechów, zwłaszcza o „nieczystość". W trzech cywilizacjach: w bramińskiej, żydowskiej i chińskiej istnieje obowiązek spłodzenia syna, co wiedzie do rozmaitych licencyj w prawie małżeńskiem. Łacińska cywilizacja, twór Kościoła, przyjęła etykę katolicką za swoją[1]). Zachodzą w niej obowiązki pewnego rodzaju, nie znane nigdzie indziej, mianowicie obowiązki względem samego siebie. Bo też ten dział etyki może powstać tam tylko, gdzie pielęgnuje się personalizm. W żadnym razie obowiązek nie może zależeć u katolika od tego, czy brzemię jego słodkie, czy gnębiące, nie może być motywowany szczęściem czy nieszczęściem zobowiązanego.

Na lwią część ciężarów moralnych ma jednak radę etyka żydowska, uznając w zasadzie obowiązki tylko względem współwyznawców. Jeszcze gruntowniej radzi sobie etyka bramińska, bo ma sposoby zrzucania obowiązków z siebie, wobec czego sama podstawa etyki staje się ruchoma.

Jasne poczucie obowiązku można przyznać tylko temu, kto wznosi się do bezinteresowności. Jakżeż tedy można wyprowadzać moralność z utylitaryzmu? Tak rozumuje monizm uważając myśl i uczucie za objawy przyrodnicze; a jakiż ma być nasz stosunek do przyrody, jeżeli nie utylitarny? Do samego dna utylitaryzmu dotarł jednak dopiero socjalizm; pod czerwonym sztandarem zeszła etyka na przygodną towarzyszkę „walki klas", zależną od „stosunku sił społecznych", a więc do roli chorągiewki na dachu.

W ostatnim czasie propaguje się w Polsce etykę Petrażyckiego (wymyśloną przed laty przeszło 30). Znać na jego teorji, że powstała pod caratem, bo akcentuje nie obowiązki, lecz pomiatane w Rosji prawa człowieka, ażeby utworzyć w etyce nowy dział, „roszczeniowy". Ale czyż wszelkie bezprawie nie jest właśnie typowo roszczeniowe? Z przeciwnego bieguna wyrasta „etyka wyrzeczenia", którą trzeba jednak dobrze zrozumieć. Ze skutków spełnionego obowiązku może wynikać złamane życie, lecz nigdy nie może to być obowiązkiem, by łamać sobie życie bez jakiej szczególnej etycznej konieczności.

Niegodziwości nie popełnia nikt bezinteresownie, ale czyż postępowanie godziwe nie da się pogodzić z utylitaryzmem? Już przed półtora tysiącem lat wyrzekł papież Leon W.: „Rodzaj zysku usprawiedliwia kupca albo oskarża: istnieje bowiem i uczciwy zysk i haniebny". Ale kto nigdy nie zdoła być bezinteresownym, ten w utylitaryzmie nie zdoła utrzymać się w granicach etycznych. Otóż etyka nie jest utylitarną, lecz utylitaryzm winien być etyczny.

Siła bezinteresowności jest nadzwyczajna, a od zasobów tej cnoty w społeczeństwie zależą w znacznej mierze losy narodu i państwa. Ale powinna być, jak ów gołąb biblijny, obdarzony zarazem chytrością węża, bo inaczej stanie często na usługach zła. Zło samo z siebie siły twórczej nie wytwarza i jest pod tym względem jałowe. Runęłoby też odrazu w gruzy, gdyby mu się nie powiodło wyprowadzić w pole odpowiedniej ilości bezinteresownych, którzy naiwnie uwierzą, że chodzi o dobro. Nie utrzymałby się bolszewizm, gdyby nie działacze bezinteresowni na trzeciorzędnych, głodowych stanowiskach. Niestety, można służyć złu w najlepszej wierze: Dobre intencje głów pomylonych często dotkliwie dają się we znaki życiu publicznemu!

Idźmy dalej w naszym wątku. Istotną etyczną sankcję w spełnianiu obowiązków stanowi dopiero odpowiedzialność. Gdzie niema rozbudzonej odpowiedzialności t. zw. „tylko" moralnej, tam nikt nie ulęknie się odpowiedzialności wobec prawa, gdyż znajdzie sposoby, żeby sobie z niem dać radę.

Quid leges sine moribus? Ludziom etycznie silnym surowa odpowiedzialność sprawia nawet przyjemność, co określił Janet przepięknie w tych słowach: „Odpowiedzialność, największy ciężar, ale też najobfitsze źródło przyjemności najbardziej męskich i najszlachetniejszych". U nas zaś Władysław Biegański, który przeszedł przez monizm, a doszedł do przełęczy pomiędzy etyką „autonomiczną" a katolicką, (zmarł w tem stadjum rozwoju) zwrócił uwagę na związek odpowiedzialności z aktywnością życia. „Odpowiedzialnym może być tylko twórca celów i czynów — tylko osoba, jako przyczyna ostateczna". W innem zaś miejscu wypowiedział uwagę prawdziwie głęboką: „W powiązaniu przyczynowem odpowiedzialności niema". Faktyczna odpowiedzialność może zachodzić tylko w celowem powiązaniu spraw ludzkich. Tak jest: z zanikiem odpowiedzialności moralnej zanikają zdolności twórcze w społeczeństwie. Spostrzeżenie Biegańskiego posiada daleki zasiąg wychowawczy, socjologiczny i... polityczny.

W życiu zbiorowem musi być odpowiedzialność spotęgowana, bo inaczej zrzeszenie będzie się staczać do upadku. Kraj naprawdę cywilizowany poznaje się po tem, że niema w nim sprawy, przypadłości, rzeczy, wogóle niema niczego takiego, za co nie byłby ktoś odpowiedzialny. Iluzoryczność zaś odpowiedzialności równa się bezkarności zła.

W prostym stosunku ilościowym i jakościowym do odpowiedzialności pozostaje czwarta gałąź naszych generaljów: sprawiedliwość. Nie hodują tego pojęcia sobkowie, u których goreje „miłowanie samego siebie i wszystkich rzeczy ze względu na siebie". Skoro zaś pojęcie sprawiedliwości znajdujemy nawet u najprymitywniejszych, widocznie nie brak prymitywom ludzkim bezinteresowności, i odpowiedzialności, choćby w zakresach najskromniejszych.

Pojęcie sprawiedliwości starsze jest od utylitarystycznych zastosowań go w prawie. Jak odkrycie naukowe musi być starsze od wynalazku, podobnież odpowiedzialność i sprawiedliwość musiały być wpierw ujęte etycznie, niż prawnie. Pojęcie sprawiedliwości stawało się jakby syntezą poprzednich, tu omawianych.

Skoro jednak zachodzą różnice w poglądach na godziwość i niegodziwość, nie może być zatem ogólnej zgodności co do tego, co uważać za sprawiedliwość, a co za niesprawiedliwość. Klasyczny dowód, jako niema „jedności etycznej", a są tylko abstrakcyjne pewne pojęcia, jakby algebraiczne niewiadome, w które każda cywilizacja wkłada

---

[1]) Protestantyzm jej nie wyrugował: w Niemczech panowała bizantyńska obok łacińskiej już znacznie przedtem: Anglja zaś, Holandja i kraje skandynawskie pozostały mimo wszystko przy cywilizacji łacińskiej i jej etyce (katolickiej).

swe wartości, przeciwne bardzo częste wartościom u innych ludów.

Syntezą wszystkich składników etyki jest sumienie, będące i narzędziem etyki i jej stażnikiem; ciekawa rzecz, że nie orjentują się w zagadnieniu sumienia ci, którzy wywodzą etykę z utylitaryzmu, a niektórzy zaprzeczają nawet istnieniu sumienia. Powiadają, że lepsze prawo wyraźne od fantazyjnego sumienia. Wypadałoby tedy zmieniać poglądy moralne wraz z każdorazową zmianą prawa?

Definicyj sumienia podano sporo. Ponieważ atoli żadna z nich nie czyni zadość wymaganiom wszystkich nauk zajmujących się tym przedmiotem, proponuję od siebie definicję następującą: Sumienie jest to autokrytyka moralna. Ponieważ jednak objawia się to często żalem i wstydem przed samym sobą, więc lubią zagłuszać sumienie osoby o wygórowanej miłości własnej, nie dopuszczającej autokrytyki.

Rodzaj i szczeble cywilizacji, a więc także rodzaj i szczeble etyki zawisły również od tego, co się gdzie rozumie przez pracę. Obecnie aż cztery cywilizacje gardzą pracą fizyczną: chińska, bramińska, arabska, turańska. Tam dziedziny pracy fizycznej a umysłowej pełne są względem siebie pogardy i nienawiści. A skutki poglądów na pracę są dalekosiężne. W nauce św. Pawła o obowiązku pracy nietylko mieściło się *in nuce* zniesienie niewolnictwa, lecz szacunek dla rękodzieł wzmógł w nich możliwości rozwoju, z czego zrodziła się potem cała nasza technika. *Homo faber* przestał być pomiotłem w społeczeństwie i wyrósł z niego w cywilizacji łacińskiej wynalazca, zmieniający cudami techniki oblicze ziemi. Odkryć naukowych nie brakło ani światu starożytnemu, lecz nie było techniki, któraby je zamieniła w wynalazki, albowiem źródło techniki, praca ręczna, zasypane było pogardą. My zaś doszliśmy do tego, iż polski ekonomista oświadcza: „Praca potrzebna jest do szczęścia" — i ma słuszność.

U rozmaitych ludów natrafiamy jednak na rozmaite zapatywania co do rozmiarów i owoców pracy. Każda etyka ma swoją ekonomię społeczną. Np. u Mongołów nie godzi się kopać ni drapać ziemi: jakżeż tedy mieliby być rolnikami? U Murzynów wolno zepsuć sąsiadowi plantacje bananów, jeśli zasadził ich więcej, niż zdaniem sąsiadów „potrzebuje".

Wreszcie dzieli cywilizacje i etyki stosunek do czasu. Opanowywanie go stanowi niepoślednią cechę rodzaju i szczebla cywilizacyjnego, a dokonuje tego jedna tylko cywilizacja łacińska. Dla Chińczyka, Mongoła, Turka, Araba, Rosjanina, Hindusa, czas jest bez wartości, gdy tymczasem my „łacinnicy" staramy się opanowanie czasu przedłużać poza grób. My mamy wielką troskę: troskę o potomnych. Taki właśnie stosunek do czasu rozszerza i wzmacnia w nas odpowiedzialność, która nie kończy się ze śmiercią.

Przeszliśmy tedy (w skrócie sumarycznym) siedem pojęć wspólnego rusztowania etyki, na którem ileż ustalono przeciwieństw i sprzeczności. Są to jakby rzędne z geometrji analitycznej, pozwalające oznaczyć położenie w jakiejkolwiek przestrzeni. Nazwijmy te rzędne etyk generaljami etyki. Nie jest to bynajmniej to samo, co „jedność etyczna ludzkości". Z tem pojęciem trzeba zerwać i to w imię postępu etyki. Jest to pomyłka nauki, która zatorowała drogę rozwojowi nauki o moralności i postępowi w praktykowaniu moralności. Na ogólne poczucie etyczne nie składają się bynajmniej fakty, lecz tylko pojęcia, a chrystjanizacja wkłada w nie swe wymagania.

Ponieważ nie można być cywilizowanym na dwa sposoby, zatem wyznawana gdzieś etyka musi być czerpana z pewnej cywilizacji, z jednej tylko. Nie można trzymać się równocześnie etyki katolickiej, żydowskiej, bizantyńskiej i turańskiej: nie można też uznawać jednocześnie moralności religijnej, naturalnej i „autonomicznej" (sztucznej). Okoliczności te stanowią zarazem dowód, że niema syntez pomiędzy cywilizacjami, boć w takim razie musiałaby być możliwa jakaś synteza etyk. Bo jakżeż być moralnym według kilku metod etycznych, wykluczających się często nawzajem? Jakżeż w mieszance etycznej pomieścić dążenia do jakiegoś wspólnego celu? Odmienne etyki mogą tylko przeszkadzać sobie wzajemnie, bo jakżeż złączyć do wspólnego mianownika ludzi, z których jedni uważają za dobro to właśnie, w czem inni współobywatele upatrują zło? To też aż wre koło nas od anarchji etycznej.

Kto wie, czy wszystko zło, trapiące Europę, nie pochodzi z tego, że dziś ogół nie wie, jakiej się trzymać etyki. A w naszej Polsce jest ich aż cztery, bo cztery cywilizacje współzawodniczą o kierownictwo: łacińska, bizantyńska, żydowska, turańska. Nie odmawiam nikomu dobrej wiary, ni patrjotyzmu nikomu, kto jest odmiennego odemnie zdania — lecz pytam każdego: Co da się zrobić dobrego przy takim harmiderze etyk?

Czas zastanowić się, do której też Polska właściwie należy cywilizacji i jakiej mamy się trzymać etyki? Inaczej grozi nam stan acywilizacyjny i bezetyczny.

FELIKS KONECZNY

LITERATURA

Bastian: *Die Rechtsverhaeltnisse bei verschiedenen Voelkern der Erde.* Berlin 1872.

Eduard Westermack: *Ursprung und Entwickelung der Moralbegriffe. Deutsch von Leopold Katscher*, Leipzig 1907, 1909, dwa tomy.

Victor Cathrein: *Die Einheit des sittlichen Bewusstseins der Menscheit.* Freiburg i/Br; 1914, trzy tomy.

Semaine internationale d'ethnologie religieuse, zwłaszcza *V-me session*, Luxembourg 1929 — Paris 1931.

Der Mench aller Zeiten. Natur und Kultur der Voelker der Erde. Von Hugo Obermaier, Ferdinand Birkner, P. Wihelm Schmidt, Ferd. Hestermann u. Theodor Stratman S. O. D. Berlin 1912 — Regensburg 1924, trzy tomy.

Paul Janet: *Philosophie du bonheur*, Paris 1863.

Władysław Biegański: Etyka ogólna. Wyd. II. Lwów 1922.

Leon Petrażycki: O pobudkach postępowania i o istocie moralności i prawa. Warszawa (po 1918).

Louis de la Vallée Poussin: *La morale bouddhique.* Paris 1927.

Ku-Hung-Ming: Duch narodu chińskiego. Tłumaczył z angielskiego Józef Targowski. Kraków 1928.

Katsouro-Hara: *Histoire du Japon des origines a nos jours.* Paris 1926.

Camille Hemon: *Essai sur la philosophie des moeurs*, Paris 1929.

Kamil Giżycki: Przez Urjanchaj i Mongolię. Lwów. 1929.

Feliks Koneczny: O wielości cywilizacyj Kraków. 1935.

SOCJALIZM, KOMUNIZM, ANARCHIZM

RZECZ znamienne, że właśnie w Polsce, którą żydzi obrali sobie za „nową Palestynę", powstaje coraz bogatsza i gruntowniejsza literatura żydoznawcza. Jest to zjawisko zrozumiałe. Naród polski, posiadający dotąd na swych ziemiach „rezerwoar światowego żydostwa", uginający się pod jego ciężarem, a jednocześnie ciągle narażony na wrogie poczynania ze strony pasorzytujących przybyszów, którzy nie jedno już nieszczęście Polski spowodowali, musiał zrewidować swój stosunek do żydów. Nie Hitler dopiero pokazał nam niebezpieczeństwo żydowskie. W dziejach naszych niejeden badacz podejmował tę sprawę, a jeżeli historja nam tych poczynań należycie nie spopularyzowała, zawdzięczamy to żydom, jak również ich pomocnikom, którzy milcząc uparcie o roli żydów w Polsce, jedną tylko „prawdę historyczną" starali się potomności wpoić: „Polak nie może obejść się bez żyda"...

Próby dalszego fałszowania historji możemy obserwować i w dzisiejszych czasach. Zaś zamykanie oczu na sprawę żydowską przez dzisiejszą „elitę" znane jest wszystkim. Nie napróżno żydzi starają się wmówić gojom, że „...„żydoznawstwem" czy innemi tego rodzaju błazeństwami szanujący się, przyzwoity człowiek nie zajmuje się", jak to jest rzekomo w Czechosłowacji („Nasza Opinja" № 13 z 1935 r.).

Na szczęście szanujący się, przyzwoici Polacy poszli inną drogą: „Winniśmy przedewszystkiem studjować zarówno pod względem społecznym, jak i psychologicznym tę ludność, z którą musimy wejść w bliższy kontakt". (Tak pisali sami żydzi, i nie było to dla nich „błazeństwem", gdyż chodziło tu o... „araboznawstwo").

Zasadę tę powinny zrozumieć przedewszystkiem czynniki oficjalne i wyciągając z niej narzucające się wnioski. Bo dziwne jest zaiste, że dotąd w Polsce nie ma urzędowej i oficjalnej instytucji, której zadaniem byłoby gruntowne i wszechstronne studjowanie zagadnienia żydowskiego. Dzisiaj to ważne nad wyraz zadanie spełniają z wielkim trudem i poświęceniem się poszczególne jednostki.

Właśnie ostatnio ukazała się druga z kolei praca Z. Krasnowskiego p. t. „Socjalizm, komunizm, anarchizm". Jest to dla poznania i pogłębienia wiadomości o światowej polityce żydowskiej praca olbrzymiej wartości.

Autor ujmuje całe zagadnienie ze strony teoretycznej, a nie w formie opisów fragmentarycznych poszczególnych wydarzeń. Te ostatnie służą raczej jako poparcie wykładanej teorji. Fakt ten znakomicie podnosi znaczenie książki. Przedewszystkiem dzięki takiemu ujęciu czytelnik ma możność gruntownie poznać zasady polityki żydowskiej. Po drugie, tak ujęta książka przedstawia wartość dla wszystkich narodów, na których żydostwo pasożytuje, tembardziej, że autor bierze za podstawę działań żydowskich nie jeden kraj, lecz całe rozproszenie żydowskie, t. j. cały świat, gdyż narodowa polityka żydowska „musi mieć zakres międzynarodowy i to w skali światowej" (str. 105, 187).

I jeszcze jedna ważna zaleta, cechująca wszystkie publikacje Krasnowskiego: udowodnianie każdej ustalanej tezy czy twierdzenia wynurzeniami samych żydów. Takie argumenty trafiają do przekonania każdego czytelnika, nawet takiego, który myśli po żydowsku, bo przecież dla niego zdanie żyda powinno być najbardziej miarodajne. Zaś argumenty przytaczane przez autora są istotnie nie do zbicia. Dowodem tego jest ustosunkowanie się żydów do „Świat. polit. żyd." tegoż autora. Żydzi, którzy są tak czuli na każdy objaw „chuligaństwa", którzy podnoszą krzyk na cały świat przy każdej, nienadarzającej się nawet, okazji, pominęli pierwszą pracę Z. Krasnowskiego grobowem milczeniem. Bo komuż musieliby nawymyślać od „chuliganów"? Czy p.p. Weizmanowi, Marksowi, Sokołowowi, Lassalle'owi, Thonowi, Trockiemu, Żabotinskiemu, Żytłowskiemu i t. d., i t. d.? A może Ahad-Haamowi?... Oto sylwetki, które obok wielu innych, przewijają się przez książkę. Piszą, mówią, działają. I cóż stwierdzają?

P. Szwalbe twierdzi, że „polityka żydowska w oderwaniu od analizy istniejących konfliktów społecznych i narodowościowych, nie jest żadną polityką". Żydzi bowiem, którzy w rozproszeniu skazali siebie na stałą walkę z otoczeniem, muszą to otoczenie osłabiać. Jest to stara zasada. Zna ją również K. Marks, to też podsuwa narodom osiadłym „nową religję" — teorję „walki klas". Lassalle uczy, jak tę teorję wprowadzić w życie: „Ja u was wywołam taki ruch robotniczy, który was wszystkich zmiażdży z całą waszą siłą"...

Od tego czasu wśród rozmaitych narodów żydzi szerzą komunizm, organizują strajki, propagują kolektywizm, walczą o wolność „ludzkości", dążą do wywołania rewolucji w skali światowej („*weltoktober*"), do zaprowadzenia „dyktatury proletarjatu" na całym świecie.

Jeden tylko kraik jest pod tym względem „upośledzony". To Erec Izrael. Tam żydzi nie chcą „uszczęśliwiać" „ludzkości". Z Palestyny komunistów wyrzuca się: dosłownie bierze się za kark i precz do diaspory. Bo w klimacie palestyńskim ta „nowa religja", jaką ma być „walka klas", przeradza się w „okropne bakcyle" (p. str. 21). Tam w dn. 1 maja urządza się wiece... narodowe i krzyczy się „hańba mopsom" (komunistom). O „dyktaturze proletarjatu" nie wolno nawet marzyć... To wszystko dobre dla diaspory...

Jedynie hasło wspólnoty ziemi, pomimo protestów, zachowane jest w Erec Izrael. To nie znaczy wcale, że ziemia żydowska jest wspólnem dobrem żydów, Arabów, Beduinów i t. d., tak jak np. ziemia rosyjska jest wspólnem dobrem żydów... „Wspólnota ziemi", unarodowienie ziemi oznacza, że tylko żyd do niej ma prawo, a wara od niej Arabom.

Z. Krasnowski podaje nam właśnie w swej pracy komplet tych zagadnień. Stosując ciągle zestawienie: postępowanie żydów w diasporze, a postępowanie w Erec Izrael, autor jeszcze bardziej uwypukla całą perfidję postępowania żydowskiego i wielką szkodliwość dla narodów osiadłych przebywania żydów w diasporze. Ale autor nie ogranicza się tylko do stwierdzenia tego faktu. Mamy w książce i receptę: 1) należy cofnąć dany żydom przywilej, zwany „równo-

uprawnieniem" i usunąć żydów z krajów rozproszenia; 2) autor wykazuje na czem polega „Istota niepodległości narodowej" (rozdz. V), t. zn. na jakich zasadach powinno opierać się życie narodów osiadłych w dziedzinie politycznej, gospodarczej i kulturalnej, aby naród miał możność wykonywania swych praw gospodarza, naruszonych obecnie przez rozproszony żywioł żydowski.

Książka ukazała się w samą porę. Dziś, w okresie wzmożonej (na całym świecie) walki narodów osiadłych z okupacją żydowską, praca Krasnowskiego nabiera olbrzymiego znaczenia. Otworzy ona oczy nie jednemu „przyjacielowi" żydów, który przeczytawszy świetnie ujęty rozdział o żydowskich „czynnikach pomocniczych", wycofa się być może ze swej haniebnej i śmiesznej zarazem roli „pomocnika" żydowskiego. Pouczy komunistów (socjalistów), co oznacza „dyktatura proletarjatu". Autor bowiem przedstawił niezmiernie ciekawe, obszerne i rewelacyjne wprost materjały o Rosji sowieckiej. Należy sądzić, że Polakom, którzy jeszcze wierzą w „raj bolszewicki", albo tym którzy twierdzą, że w Rosji Sow. żydzi nie odgrywają roli, praca Krasnowskiego rozwieje wszelkie złudzenia.

I dziś, kiedy żydzi w dalszym ciągu prą do rewolucji światowej, do wywołania zamętu w całym świecie, tego rodzaju publikacje jak „Socjalizm, komunizm, anarchizm" zmniejszają w dużej mierze szanse powodzenia planów żydowskich.

J. K.

NOWE REWIZJE P. GÓRKI

P. OLGIERD Górka, jak wiadomo dobry znawca Wschodu (mówił mi wielki Jorga dwa lata temu o znacznych jego zasługach dla „*Quellenkunde*" rumuńskiej) — w odczycie swoim, na 6-em zebraniu dyskusyjnym „Akademji Literatury") p. t. „Koncepcje upadku Polski a fakt Odrodzenia" wdał się, wbrew kanonom szkoły, której hołduje (kształcił się przecie Górka w seminarjum lwowskiem za dni prymatu nauki niemieckiej) — w zakres nie swojej specjalności, t. j. „wszedł w szkodę" Konopczyńskiemu, Feldmanowi i niżej podpisanemu. Co mu na to powiedzą autorowie „Polski w dobie wojny siedmioletniej" i „Polski w dobie wojny północnej" — ich to rzecz i troska; ja zaś, coprawda tylko na zasadzie sprawozdania „kurjerowego" („Kur. warsz." nr. wieczorowy z dn. 23.III b. r.) tyle mam do zauważenia.

P. Górka wykładał w „Akademji" o dobie Poniatowskiego Stanisława-Augusta, ale przejął się snać duchem Poniatowskiego Juljusza. Świadczy o tem następujące, uwiecznione w reportażu „powiedzonko", mocno pachnące stale dotychczas ujawnianą pana Olgierdową demokracją, a raczej może — antytradycjonalizmem: „przyczyną sprawczą" wspomnianego upadku — „źródłem rozbioru" była degeneracja instyktu państwowego wśród szlachty XVIII-go w."

Zdaje mi się, że w tym specjalnym wypadku „rewizjonizm" p. Górki równa się „wyłamywaniu drzwi otwartych". Nie potrzeba było aż na to „szkoły krakowskiej", na którą powoływał się p. Górka, aby stwierdzić degenerację — nie wyłącznie szlachty polskiej, ale całej elity moralnej XVIII-go stulecia pod wpływem doktryn wolnomularskich. Czy p. Górce, jeśli nie ma już zaufania do prac polskich swoich kolegów, nie są przypadkiem znane — z literatury zagranicznej — słynne prace profesorów Fay'a i Hazarda, a—z dawniejszych — pani Webster?

„Pikantnie" brzmieć zato musiała „pod kopułą Palais — Jędrzejewicz" surowa krytyka bierności, kwietyzmu i tchórzostwa społecznego, przyczem zapomniano jeno uwydatnić w charakterystyce wieku XVIII-go potwornego jego panegiryzmu, a przepominano naodwrót o zasługach nielicznym w nim zresztą Czackich, Kożuchowskich czy Rejtanów, a zwłaszcza przedstawicieli niektórych ówczesnego episkopatu: Sołtyków, Krasińskich i Sierakowskich. Ale czy ktoś mógł się łudzić, by aktywność „odbronzownicza" p. Górki mogła mieć na celu „bronzowanie" tego czy innego biskupa?

Czyżby p. Górka, jako „bebek" z krwi i kości, zapomniał był w tej uroczystej prolekcji o bezpośrednich swoich poprzednikach? Czyżby np. — śladem pewnego niedawnego wydanego literackiego kompendjum — zatrzymał się był w omawianiu zasług historjografji polskiej na Szujskim czy Bobrzyńskim, a zlekceważył szkołę Askenazego? Czy Konopczyński, jego antagonista ze sporu o Sienkiewicza, nie wydał mu się był przypadkiem *nomen odiosum*? Dość, że w dwa miesiące po nowej syntezie autora „Pułaskiego" wystąpił p. Górka ze światoburczą rewizją „Baru" i — cytując, czy zgoła nie cytując pół tysiąca stron „Konfederacji", opartych na miljonie dokumentów— sam, niczem klasyczna góra, co niegdyś urodziła była myszkę, wystąpił z rewelacjami, co jak starożytna Minerwa poczęły się były... w jego głowie.

„Bar" — dowodził podobno p. Górka, — „ta druga z kolei wojna nasza o niepodległość" — to było... jedno pasmo kompromitacyj: Kraków zdobyło... 80 żołnierzy rosyjskich[1]); słynna obrona Baru urosła do niesłychanych rozmiarów.., w wyobraźni pisarza".

A ja do... „Konfederacji" Konopczyńskiego, niechżeż on będzie raczej Wirgiljuszem moim w labiryntach barskich. Czytałem wszakżeż już zarówno jego „Obronę Baru", jak i „Szturm Krakowa". I cóż widzę: stronice pracy historyka krakowskiego (porównaj rozdziały I i II), poświęcone obronie Baru, nabrzmiałe są pietyzmem patrjotycznym, choć nie panegirycznym. Gdzież tu p. Górka dopatrzeć się może bierności, kwietyzmu czy tchórzostwa — Józef Pułaski, starosta warecki, z kauzyperdy-groszoroba nagle przedzierzga się w rycerza i inauguruje w „kurniku" barskim „wielki tydzień Polaków"; 4 marca 1768 (w sam dzień imienin starościca Kazimierza) kupią się nowi polscy Krzyżowcy barscy u miejscowych Karmelitów czy Franciszkanów, wzywając pomocy Pana Zastępów i wierząc, że im będzie „tarczą i pu-

[1]) Fragmentaryczne sprostowanie, inspirowane bodaj przez p. Górkę, niewiele tu zmieniło.

klerzem"; później zaś, obierając hetmanem swoim królewicza Korony Polskiej Kazimierza, poświęcają, jak potem Kościuszko, szable szefów, padają w rzewnem uniesieniu krzyżem śpiewając hymn św. Ambrożego oraz psalm Jana z Czaronolasu. Gdzie w tym nastroju związkowców dopatrywać się bierności i kwietyzmu: wszystko rzucają na szale; jest komu wymyślać od tchórzostwa, kiedy Tersytes nazywa się Pułaski!

„W takiej posturze",—pisze niesłusznie zignorowany dziejopis narodowo-katolicki — „z takim rynsztunkiem szła w kraj konfederacja barska, cała rozmodlona, cała zasłuchana w proroctwa i kazania ojca Marka..., niosąc na piersiach ogromne ryngrafy, śpiewając improwizowane psalmy i zagrzewając siebie napół biblijnemi słowy: „Pomnijcie na dzieła ojców waszych, któremi się wsławiali w upokorzeniach swoich, a nabędziecie chwały imienia wiecznego; niech nas nie upadla i nie wzgardza hardość i duma nieprzyjaciół!"

To — Bar był, a jak wyglądał Kraków *anno* 1768? Pewnie nie był to Kraków N. K. N.'u, ale i ten sprzed lat 150-ciu „głównem (stał się)... ogniskiem czynnego oporu". Tam też dotychczasowa „radosna twórczość" biboszów - Małachowskich ustąpić musiała w chwili przełomowej elementom innym, raczej mieszczanom niż ziemianom (owym Badenim, Wodzickim, Dembińskim, Michałowskim, Łętowskim, Siemieńskim i Jordanom). Ale za „szarzmi ludźmi" — jak interesująco wykazuje Konopczyński — stali na linji oporu hardzi także magnaci: za partyzantką Goczałkowskich, Wymionków czy Silnickich czaiła się fronda margrabska. Młody Wielopolski z pobliskiej Pieskowej Skały i jego krewniacy ze Suchej i z Bobrku; z Wawelu zaś zagrzewał do walki powstańczej listem pasterskim sufragan wywiezionego Sołtyka, Franciszek Potkański, podczas kiedy drugi ksiądz, *alter ego* wywiezionego również Załuskiego, przywędrował bodaj aż z Kijowa, aby głosić w Małopolsce „wojnę świętą" przy pomocy jezuickich konwiktorów. Pewnie, że się tu i owdzie trafiały „niedociągnięcia" czy nawet zdrady; pewnie, że w końcu uległo miasto przeważającej sile wroga, ale czy bez względu na to wolno wnioskować, jak to uczynił podobno w odczycie swoim p. Górka, że cała ta przeszłość nie była warta „funta kłaków", *que la vie commence... aujourd'hui?*

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

AUTOBIOGRAFJA SKARGI

(W CZTERECHSETNĄ ROCZNICĘ JEGO URODZIN: 1536—1936)

JEDNĄ z największych zdobyczy duchowych epoki odrodzenia i humanizmu jest, jak się wyraził Burckhardt, „odkrycie człowieka". Prawda, że już w wiekach średnich — od czasów świętego Augustyna — człowiek zagłębiał się w tajniki własnej duszy (bez tego nie byłoby mistyki średniowiecznej), ale dopiero na epokę odrodzenia i humanizmu, to znaczy na epokę, której świtem jest — w literaturze — „*Vita Nuova*" Dantego, przypada r o z k w i t indywidualizmu i, co za tem poszło, rozkwit zarówno liryki autobiograficznej, jak biografji i autobiografji w prozie.

U nas wolno mówić o tym rozkwicie dopiero w wieku XVI.

Już za Zygmunta Starego wnika do poezji polsko - łacińskiej pierwiastek autobiograficzny, czego najpiękniejszym i najwymowniejszym dowodem jest elegja Janickiego „*De se ipso ad posteritatem*". Z tychże czasów pochodzi pierwsza autobiografja polsko - łacińska, napisana przez Abrahama Kulwę, Litwina: „*Confessio fidei Abrah. Culvensis, scripta ad Serenissimam reginam Poloniae*".

Cóż dopiero powiedzieć o czasach Zygmunta Augusta i Stefana Batorego! Jak jasne światło rzuca na duszę Modrzewskiego jego przedmowa do dzieła „*De Republica emendanda*", na duszę Kromera jego przedmowa do dzieła „*De origine et rebus gestis Polonorum*", a na życie i duszę Orzechowskiego jego autobiografja łacińska!

Także i w poezji polskiej XVI wieku nie brak pierwiastka autobiograficznego.

Jan Seklucjan poprzedził swój tak zwany Większy Katechizm („Catechismus, to jest nauka naprzedniejsza i potrzebniejsza ku zbawieniu w wierze krześcijańskiej") wierszem „Do czytelnika upominanie"; jest to nie tyle upominanie, ile o s o b i s t e w s p o m n i e n i e autora o swoich latach szkolnych.

Marcin Bielski na czele swej „Komedyi Justyna i Konstancyjej" umieścił dialog „Mistrz ku swoim Książkom mówi", a „Książki ku Mistrzowi"; otóż wdzięczny ten utwór jest w pewnej części autobiografją, mianowicie skargą na własne kłopoty domowe i na własną żonę, że odrywa męża od ukochanych książek i zapędza go do gospodarstwa.

Rej (chociaż, podobnie jak Seklucjan i Bielski, nie był humanistą) jeden ośmiowiersz „Zwierzyńca" poświęcił samemu sobie, a „Zwierciadło" zakończył wierszowanym utworem, w którym „z światem, z dobrym towarzyszem swoim i z jego ozdobnemi przypadki żegnając się, rozmawia krótkiemi słowy".

Maciej Stryjkowski pisze „Sam o sobie i przygodach swoich w zwiedzeniu rozmaitych krain świata".

Sonety i niektóre inne poezje Szarzyńskiego to zwierciadło jego własnej duszy po tym przełomie moralno-religijnym, jaki się w niej dokonał.

A Kochanowski! Nietylko jego elegje łacińskie, ale i polskie utwory liryczne mają charakter autobiograficzny. To, że wiele w nich reminiscencyj z poetów starożytnych i z Petrarki, że często nie wiadomo, co w nich jest przeżyciem tylko literackiem, a co wypadkiem życiowym, nie zmienia samego faktu. „Fraszki" nie stanowią wyjątku: przecie sam poeta wyznaje, że powierzył im „umysł swój zakryty". Koroną zaś autobiograficznej poezji Kochanowskiego są „Treny", największe arcydzieło liryki staropolskiej i bodaj czy mające równe sobie w liryce całej Europy XVI wieku. A co jest główną tajemnicą piękności „Trenów"? czyli, mówiąc inaczej, co stanowi

ich naczelną wartość **estetyczną**? Przedewszystkiem ich **siła wzruszająca**, siła tak wielka, że większej nie znaleźć w całej poezji staropolskiej; na większą zdobędzie się dopiero Mickiewicz czy to w opowieści o odwiedzinach pustego domu rodzinnego (w czwartej części „Dziadów"), czy w spowiedzi Jacka Soplicy, czy w lirykach lozańskich. A gdyby kto powiedział, że „Treny" Kochanowskiego mocniej wzruszają czytelnika aniżeli „Ojciec Zadżumionych" Słowackiego, to, kto wie, możebyśmy przyznali mu słuszność. Wzruszają zaś „Treny" nietylko **prawdą i siłą bólu** ojcowskiego po śmierci ukochanego dziecka i nietylko **rzewnością** wspomnień o jego krótkiem życiu i jego żegnaniu z matką, ale nadto **majestatycznym w swoim spokoju wyrazem** całej gamy uczuć: od smutku i rozpaczy, przez zwątpienie o nieśmiertelności duszy i o Bogu, do wiary, pokory religijnej i ukojenia.

Otóż jest w naszej literaturze autobiograficznej XVI wieku, oprócz „Trenów" Kochanowskiego, jeden jeszcze utwór, który, chociaż pisany prozą, ma w sobie (jeśli wolno ufać własnemu wrażeniu) nie mniejszą siłę wzruszającą, nie mniejszą rzewność wyznania osobistego i nie mniej majestatyczny w swoim spokoju wyraz bólu — tylko że nie ojcowskiego, ale synowskiego, pozbawionego wprawdzie (inaczej niż w „Trenach") refleksji filozoficznej, niemniej jednak płynącego także z uczucia rozkrwawionej miłości, a poczęści (tak samo, jak w „Trenach") z wyrzutów sumienia, z niepokoju, czy ból nie jest czasem zasłużoną karą bożą za grzechy ludzkie. Utworem tym jest przedmowa Piotra Skargi do „Kazań na niedziele i święta całego roku", wydanych w Krakowie r. 1595, a dedykowanych „Najjaśniejszemu i niezwyciężonemu Monarsze Zygmuntowi Trzeciemu". Niechaj wolno będzie nazwać tę przedmowę autobiografją Skargi.

Jakto? Czyż można nazwać autobiografją utwór, w którym niema już nietylko ani jednej daty, ale nawet słowa jednego ani o dzieciństwie, ani o młodości, ani wogóle o kolejach blisko już sześćdziesięcioletniego życia? Cóż z tego, kiedy jest w tym utworze własna koncepcja własnego życia, jest uświadomienie sobie jego głównego celu, i jest historja wypełniania tego celu, czyli, innemi słowy, jest najistotniejsza treść życia Skargi od czasu powzięcia jego koncepcji. Daty jej narodzin dokładnie nie znamy. Nie ulega jednak wątpliwości, że się ona narodziła w duszy Skargi albo na krótko przed powołaniem albo po powołaniu go przez Zygmunta III na kaznodzieję dworu i sejmu, co nastąpiło w styczniu w roku 1588.

Jakaż to koncepcja? Pamiętać trzeba o tem, że Skarga, przy całej swojej ogromnej trzeźwości umysłowej, był mistykiem, że miewał wizje i słyszał głosy zza świata, i to głosy nietylko świętych, ale samego Jezusa Chrystusa. Poświadcza to on sam w swoim diarjuszu, z którego kilka faktów przytoczył jego biograf Wielewicki. Oto np. dnia 20 marca r. 1604 ukazał mu się, podczas ciężkiej gorączki, zmarły w r. 1603 Krzysztof Warszewicki i zapytał go: „Czemu modlisz się do Pana Boga, aby ci przedłużył życie o jeden rok, a nie o lat dziesięć?" Innym razem, 22 października tegoż 1604 roku, spożywając podczas Mszy, którą odprawiał, Komunję, usłyszał głos Chrystusa: „Daję Ci dowód mej miłości ku Tobie. Przyjmuję cię do jedności z Ciałem mojem, ażebyś był moją częścią nierozłączną" [1]). Nie wierzyć tym i innym jeszcze podobnym **faktom** może ten tylko, kto nie ma żadnego pojęcia o psychologji mistycyzmu.

Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w pewnej chwili swego życia ten człowiek, który Boga i Ojczyznę ukochał całą siłą swego gorącego serca i który, im dalej w czas, tem jaśniej zdawał sobie sprawę z potęgi swojej wymowy kaznodziejskiej, — że ten człowiek powziął pewność mistyczną, iż sam Bóg powołał go do leczenia ukochanej Ojczyzny z tych wszystkich ciężkich chorób moralnych, społecznych i politycznych, które później będą wyszczególnione w kazaniu sejmowem „O miłości ku Ojczyźnie". Nie dziw, że w innem kazaniu sejmowem, poświęconem „grzechom jawnym i niekarności ich", powie głośno i otwarcie: „Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i o zgubie waszej nie mam, **ale poselstwo do was mam od Pana Boga**, abych wam złości wasze ukazował i pomstę na nie jeśli ich nie oddaliście, opowiadał".

Otóż świadomość tego **powołania**, którą według wszelkiego prawdopodobieństwa zrodził **usłyszany w duszy głos Jezusa Chrystusa**, przemówiła po raz pierwszy jasno i wyraźnie w owej przedmowie do „Kazań na niedziele i święta całego roku": „Myślę, jako się sprawię Chrystusowi, Panu i Bogu memu, **który mię na tę Swoję robotę posłał i talenty Swemi wedle małej siłeczki mojej nadał i opatrzył**, gdy spyta: coś Mi zrobił? wiele i jakicheś Mi pożytków przyczynił? A ja z czem się postawię? co ukażę? Zawstydziwszy się i przestraszywszy, rzeknę: Panie, posłałeś mię do dworu królewskiego, do Zygmunta trzeciego, Pana dwu wielkich królestw, do Domu i Senatu i Rycerstwa i sług i poddanych jego. Nauczałem i upominałem Pana swego,... aby Ciebie znał, Boga swego,... aby sobie mądrości i rozumu prosić u Ciebie i nabywać staraniem pilnem na tak trudne i ciężkie rządzenie umiał, aby... miłość uprzejmą ku poddanym i prawom ich zachował i prace żadnej i czujności w obmyślaniu dobra pospolitego i obrony a zachowania w całości Korony wszystkiej nie żałował... I do Rady i do Senatu jego i do Domu i do sług jego i na Sejmach i Zjazdach odprawowałem, Panie Zbawicielu, poselstwo Twoje: upominałem, aby obie Matce swoje, Kościół Boży i Ojczyznę, w jednym końcu złączone, wiernie i uprzejmie miłowali,... aby wierną radę dawali, na samo się dobro pospolite oglądając, a domy i prywaty swoje na wzór przodków swoich wiernie czcili i onym posłuszeństwo i o ich się niecześć gniewali i szemrania się wszelakiego o nich strzegli;... aby wolnością swoją nie ginęli a niewolej obcych panów na się nie przywodzili. Wołałem na nie, Panie, aby na niewierność, mężobójstwa, cudzołóstwa, kazirodztwa, lichwy, wydzierania, najazdy i inne srogie grzechy, lepsze prawa i prędszą sprawidliwość naleźli, a zmazaną krwią i krzywdami kościołów i ubogich i uciążeniem poddanych ziemię swoję oczyściali"...

---

[1]) *„Do tibi pignus amoris mei erga te. Recipio te in unitatem Corporis mei, ut sis membrum meum et pars mea inseparabilis".*

Oto do czego powołanym przez samego Jezusa Chrystusa czuł się Skarga — i oto zarazem największy czyn jego życia: tego jednego dosyć, żeby utwór, który jest wyznaniem tej wiary i stwierdzeniem tego czynu, nazwać autobiografją.

Lecz podobnie jak w „Trenach“ Kochanowskiego jest nietylko cudowny w swoim liryźmie wizerunek ukochanego dziecka, ale i ból ojcowski, tak i w utworze Skargi jest nietylko charakterystyka jego służby Bogu i Ojczyźnie, ale i ból synowski na myśl, że ta służba nie wydała owoców.

Wprawdzie król Zygmunt nie sprawił Skardze zawodu: „Mam wielką pociechę pracej tej mojej, gdy patrzę na Waszej Królewskiej Mości pobożność i bojaźń ku Panu Bogu,... gdy patrzę na sprawiedliwe panowanie, na trzeźwość i mierność i odmiatanie zbytków i nieprzystojnych rozkoszy... Które wielkie cnoty acz z łaski Bożej, z dobrego wychowania i dobrej natury i z innych pomocy Wsszej Królewskiej Mości wyrosły, jednak słuchanie pilne słowa Bożego, w którem się Wasza Królewska Mość kochasz, ten ogród polewa i rozmnożenie mu od Boga daje“. Tę „wielką pociechę“ powiększa jeszcze rozrzewniające w swojej dziecięcej naiwności (właściwej ludziom prawdziwie wielkim, a cóż dopiero świętym!) wspomnienie, że król „rad słuchał z tak wielką ochotą, i żem nigdy Waszej Królewskiej Mości drzymiącego na kazaniu, ani z kim gadającego nie widział!“

Miał Skargę pociechę i z innych słuchaczów, ale ci należeli do wyjątków: ogół sprawił mu gorzki zawód i przepełnił jego duszę bólem i niepokojem patrjotycznym. I oto skarży się przed Chrystusem: „Uprzejmiem i z serca nawrócenia i poprawy ich i zbawienia pragnął, Ty wiesz; i radbym na to zdrowie ważył, abym na dobre ich i Ojczyzny ich patrzył. Miłować-em chciał cześć Twoję i pożytki Twoje, aby praca i wylanie drogiej krwie Twojej dla nich nie ginęło. Nie wiem, czem się dzieje, iż nie pomaga im poselstwo Twoje i wołanie moje i do pokuty rzadki bardzo powstaje. Twarda rola strudziła wołu starego, a pracy na niej w dobrem żniwie nie znać. Chytre ryby, od sieci Twej uciekając, poimać się nie dadzą... Łakomstwo, hardość, łupiestwo i nieprawda górę wzięła; lichwy i złupienie dóbr pospolitych nastąpiło... Jeden drugiego krwie pragnie: mąż brata swojego na śmierć łowi. Złość ręku swoich dobrocią zowią. Panowie wszystko mówią: daj! daj! Sędziowie zapłaty i darów czekają. Możni przewodzić myśli swoje chcą. Najlepszy między nimi przedsię kole jako cierznie z płotu. Jedni nas, fałszywi sami, fałszywymi proroki zowią, choć jawne od Ciebie, Pana naszego, świadectwa mamy. Drudzy słuchają, a nie czynią: wiarę mają katolicką, a ręce heretyckie. Drugim słowo Twoje jest za śpiewanie i muzykę, po której się słuchaniu nic nie zawiąże: chwalą kazania, a żywota swego nie poprawiają“.

Oto tragedja życia Skargi, oto źródło synowskiego bólu tego człowieka, który całem sercem ukochawszy swoją Matkę-ojczyznę, własnemi oczami patrzał na jej nieszczęścia, płynące z braku wdzięczności ze strony jej dzieci za te dobrodziejstwa, które od niej otrzymały...

„Któż winien, Panie?“ — pyta Skarga. Odpowiedź przypomina myśl Kochanowskiego, który się bije w piersi, wołając:

My nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje,
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko Cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy..

. . . .

Wielkie przed Tobą są występy moje!...

Otóż i Skarga bije się w piersi: „Ze mnie może być przyczyna: abo bojaźnią, abo niedbalstwem, abo nieumiejętnością psuję żniwo Twoje“.

A jak Kochanowski modli się do Boga:

„Użyj dziś Panie, nademną litości!“

tak i Skarga błaga Jezusa Chrystusa: „I ze mną, i z tymi, co mię słuchają, nie wchodz w sąd, ale zwyczaju i natury Swojej używaj nad nami!... Uczyń z nami przymierze wieczne!... Spraw to, abyśmy chodzili w rozkazaniu Twojem, abyśmy ludem Twoim nigdy być nie przestali, a Ty Bogiem naszym zawżdy zostawał!“

„Treny“ kończą się ukojeniem — kojącym snem, w którym ukazuje się Kochanowskiemu matka z Orszulką na rękach i pociesza go zapewnieniem, że jego ukochane dziecko dzięki przedwszesnej śmierci uniknęło nicszczęść, nieodłącznych od życia ziemskiego. Jest pewne ukojenie i w utworze Skargi; daje mu je nietylko wiara w miłosierdzie Boże, ale i nadzieja, że nadejdą dla Polski lepsze czasy: „Pan Bóg... Waszej Królewskiej Mości dać raczył synaczka Władysława, któremu dziś[1]) jest pięćdziesiąty dzień i czwarty, w którym się zeszła krew nietylko wielkich Królów ale i wielkich Cesarzów i Monarchów, za czem wielkiej po nim pociechy wszystka Korona czeka, gdy zwłaszcza dobre wychowanie przystąpi, na którem wszytko należeć będzie. Którego iż ja nie doczekam,... z radości w jego narodzeniu uweselony, tak mu też z Zacharjaszem zaśpiewam, gdy to pismo, które zostawuję, czytać będzie: Ty, synaczku, królem polskim zwany, służyć Panu twemu, który cię stworzył w dobrem sprawowaniu ludu Jego będziesz. Władnąć masz sławą, Władysławie, aby ją z narodem i ludem swoim podniósł, a poniżoną podwyższył. Pobożność i męstwo Jagieła Władysława i drugiego tegoż imienia, syna jego, który mężnie zdrowie swoje na potrzebie chrześcijańskiej przeciw Turkom u Warny położył, mieć masz, aby z rodzicy twymi i z ludem twoim był błogosławiony na wieki... Co się zstanie, dali-Bóg, gdy i z piersi pobożność brać będzie, gdy takie weźmie od Waszej Królewskiej Mości ćwiczenie“.

Te są główne myśli i uczucia przedmowy do „Kazań na niedziele i święta całego roku“. Odzwierciedliła się w niej cała wielka i święta dusza Skargi, ponad wszystko kochająca Boga i Ojczyznę; odzwierciedlił się w niej największy i najświętszy ze wszystkich czynów jego życia: praca nad leczeniem skołatanej „szkodliwemi chorobami“ Matki-ojczyzny — za pomocą umoralniania jej grzesznych dzieci. I dlatego wolno było tę przedmowę nazwać autobiografją Skargi.

IGNACY CHRZANOWSKI

[1]) Przedmowę do „Kazań“ pisał Skarga „w Krakowie w dzień uwięzienia świętego Piotra, 1 Augusti 1595“.

NA WIDOWNI

Przechadzka w Zielone Świątki. — Cytat z „Księdza Marka". — Zarzucanie tradycji i przyczyny tego zjawiska. — Refleksje o swobodzie i rygorze.

KIEDY w ciepły, słoneczny ranek Zielonych Świątek przechadzałem się po ulicach Warszawy, miasto wydało mi się jakieś mniej uroczyste, bardziej szare, powszednie niż bywało w dniu tym za czasów mojego dzieciństwa. Dopiero po chwili zastanowienia zorjentowałem się gdzie przyczyna tego wrażenia. Oto z roku na rok, z szybkością wzrastającą zanika obyczaj przystrajania bram domów gałęziami i tatarakiem. Już nawet i połowa kamienic stołecznych nie posiadała tej ozdoby, jeszcze niedawno takiej powszechnej w tej dacie, tak tradycyjnie obowiązkowej. W pamięci stanęła mi znana scena z „Księdza Marka" Słowackiego, gdy wódz w habicie, przed wyprowadzeniem konfederatów, ukazuje Starościcowi Bar umajony na dzień Zesłania Ducha Św.:

„Polsko! nie jesteś oszczędną!
Te klony, te jarzębiny
Té brzozy — las cały młody
Przyniosłaś sobie do miasta".

I prorok-karmelita zwraca się myślą ku przyszłości:

„...Szczególnie małej dziecinie,
Gdy się zbudzi i obaczy
Las cały, z kalin czerwienią
Stojący przed domu sienią,
Gdy jej dziadek wytłumaczy
I pod cieniem tych drzew powie,
Że tak czynili ojcowie,
Którzy już dawno są w grobie:
To dziecko poczuje w sobie,
Przejęte smutkiem i strachem,
Patrząc w smutne oczy dziada,
Że i tym nawet zapachem
Ojczyzna do niego gada..."

„Czy słyszysz, jak ten las śpiewa, listeczków tracąc ostatki?" — dźwięczał mi dalszy ciąg wiersza jakimś nowym zupełnie, nie przeczuwanym przez Słowackiego odcieniem melancholji. Czyż mógł spodziewać się poeta, że — jeśli sprawy dalej pójdą tym samym torem — za lat kilka, kilkanaście ten urywek z „Księdza Marka" wogóle nie będzie dla młodych Polaków zrozumiały, że ażeby zdać sobie sprawę, o co tutaj chodzi, będą musieli zajrzeć do jakiegoś nowego Bystronia czy Glogera i poinformować się, że „istniał niegdyś zwyczaj"... i t. d.

Dziwna rzecz: właśnie teraz, w odbudowanem Państwie, milkną jeden po drugim głosy, któremi „Ojczyzna gada" do duszy Polaka, głosy tak rozmaite w natężeniu barwy i brzmienia, a przecież gdy któregokolwiek z nich zabraknie, życie staje się jakieś uboższe, płytsze, mniej piękne i mniej zajmujące. Właśnie teraz urywają się owe żywe związki z przeszłością narodu, których ciągłość utrzymywaliśmy w najniekorzystniejszych dla ich pielęgnowania warunkach niewoli. Zaniedbywanie strojenia gałęziami domostw w dzień Zielonych Świątek, to — pod tym kątem widzenia na rzecz spojrzawszy — *signum temporis* istotnie zasługujące na rozpatrzenie. Jakież mogą być przyczyny tego zjawiska?

Przed kilku dniami spotkałem gromadę dziatwy ze szkół powszechnych, z chorągiewkami bibułkowemi w rączkach, z napisem „Święto dziecka". Biedactwa wracały prawdopodobnie z jakiejś „akademji". I niewiele tu znaczy, że te „święta" sztuczne, laickie są — w porównaniu z prawdziwemi — dziwnie nudne, pozbawione treści, bezduszne, niczem owe bibułki chorągiewek wobec świeżej, majem pachnącej zieleni gałązek. Duch Święty, nie wzywany, oszczędnie udziela pierwszego z siedmiu Swoich darów — daru Mądrości — i trzeba widzieć niejedną zacną nauczycielkę ludową, z jakim zapałem, na kilka miesięcy naprzód przygotowuje się do obchodu „dnia matki" albo „dnia dziecka", uczy swoje maleństwa odpowiednich piosenek i deklamacyj, przyozdabia na tę uroczystość izbę szkolną. Trudno dziwić się, że Ojczyzna nie „zagada"... odezwą Komitetu Międzynarodowego Święta Matki, że „szczególnie małej dziecinie", wymachującej otrzymaną na „akademji" chorągiewką, cały ten obchód nie nasunie myśli wzruszającej, że „tak czynili ojcowie, którzy już dawno są w grobie"...

Jeśli wszakże o ten konkretny fakt chodzi, jakim jest coraz rzadsze przystrajanie bram na Zielone Świątki, wydaje się iż jedną z ważnych przyczyn jest tu pewna postawa duchowa, związana z ogólnem położeniem politycznem kraju i będąca tego położenia zarazem objawem i wynikiem. Poprostu i dozorca i właściciel kamienicy przyzwyczaili się do tego (we własnem państwie nie wywołuje to w nich tych oporów psychicznych, jakie budziło pod zaborem), że sprawa, kiedy trzeba nadać wygląd odświętny domowi należy nie do nich lecz do komisarjatu, że w tym zakresie wykonywanie prawa własności przeszło w praktyce na policję, że kiedy trzeba, zjawia się pan dzielnicowy, wydaje rozporządzenie i t. d.

Osobiście — dodam tutaj w nawiasie — mam zastrzeżenia co do wartości i celowości tego systemu, nawet ze stanowiska tych interesów i zadań, którym, w myśl intencyj zwolenników, powinien służyć. W każdym razie posiada on tę widoczną niedogodność, że manifestacja nie jest już tem, czem powinna być, t. j. manifestacją, wyrazem uczuć społeczeństwa oraz miarą ich nasilenia, a świadczy tylko o sprawności służby policyjnej, co, naturalnie, jest objawem krzepiącym, ale o czem i tak przecież nie wątpimy...

I tutaj znów powracamy do majenia domów gałązkami w dniu Zielonych Świątek, by, w zakończeniu, przejść do pewnej refleksji ogólniejszej. Obyczaje tradycyjne, właśnie dlatego, że tradycyjne, że weszły w krew („tak czynili ojcowie")—z natury rzeczy zachowywane są raczej samorzutnie, dobrowolnie: stąd najlepiej utrzymują się w atmosferze pewnej swobody, systemy rygoru policyjnego mniej im oczywiście sprzyjają. Znane jest zjawisko tradycjonalizmu w ustrojach państw, opartych na idei wolności (np. Anglja, dawna Polska) i w obdarzonych swobodami, autonomicznych związkach (np. miasta średniowieczne, uniwersytety). Z drugiej strony, wdrożenie w rygor czyni społeczeństwo podatniejszem do akceptowania rewolucyjnych nawet przewrotów, które z reguły właśnie tylko metodą „autorytatywną" muszą być przecież narzucane.

Ale — nie przekraczajmy ram tematu i... fejletonu. Zbyt odpowiedzialne to zadanie dać odpowiedź — nie z doktryny, lecz z rzeczywistości narodowej wysnutą — gdzie i w jakiej mierze mianowicie obie zasady: swobody i rygoru powinny być w dzisiejszej Polsce stosowane.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

DNI OSTATNIE ZWRÓCIŁY NASZĄ UWAGĘ NA ZGIERZ. Zgierz małe, trzydziestotysięczne miasteczko fabryczne pod Łodzią w wyborach do Rady Miejskiej przed dwoma laty wybrało, na ustawową liczbę trzydziestu dwu radnych, połowę, t. j. szesnastu z listy Obozu Narodowego a pięciu z listy socjalistycznej.

Rada Miejska, nie mogąca dokonać wyboru prezydjum, została przez władze powiatowe rozwiązana. Zarządzono nowe wybory. I w pierwszy dzień Zielonych Świątek, dnia 1-go czerwca odbyły się one ponownie. Dały w wyniku dziesięć mandatów liście narodowej, a jedenaście komunistyczno-socjalistycznej.

Zaznaczyć należy, że zarówno nowa geografja wyborcza, jak i wyznaczony termin posiadały wszelkie cechy złośliwości, wymierzonych pod adresem Obozu Narodowego, co wpłynęło oczywiście na wynik głosowania.

Gdy się temu wynikowi bliżej przyjrzymy, zauważyć musimy, iż spadek głosów oddanych na listę Obozu Narodowego nie jest tak silny i nie on stanowi charakterystyczną cechę niedzielnego wydarzenia, ale właśnie wzrost głosów na listę komunistyczno-socjalistyczną. Właśnie komunistyczno-socjalistyczną. Trzeba to silnie podkreślić. Zarówno sam fakt sojuszu, jak i konsekwencje zblokowania.

Wybory w Zgierzu miały wiele z atmosfery jednolitego „Frontu Ludowego", wspólnie poczętej i prowadzonej ofensywy marksistowskiej. Były więc sprawdzianem niedawno zawartego sojuszu. I dlatego wyrastają ponad miarę wydarzenia w małem miasteczku.

NAUKA i LITERATURA

SŁOWIK LITEWSKI

OSOBLIWEM zjawiskiem w obecnych czasach jest temperament poetycki Kazimiery Iłłakowiczówny. Wydany teraz tom (Gebethner i Wolff) p. t. „Słowik litewski" stanowi grubą księgę, co świadczy, że wiele tworzyła, gdy inni milczeli, a zawsze w wysokim locie i szerokiem rozpięciu skrzydeł. Naogół obecny stan poezji zdaje się świadczyć, że dzisiejsza atmosfera poetom nie służy. Ani słońca, ani księżyca; chciałoby się trochę wichru, trochę jasności, a tu zmierzchło i duszno. Nawet heroldowie nowych form w poezji, na sprawy idej obojętni, porzucają poezję na rzecz powieściowego reportażu.

Jedna Iłłakowiczówna, jakby z innego świata czerpała dla płuc powietrze, idzie polską drogą, jak bajeczna księżniczka ze Wschodu, w przepychu szat poetyckich i klejnotów słowa, istny żywioł poezji, gardzący granicą między światem realnym i zagrobowym.

Była już nieraz sposobność stwierdzania, że pod względem formalnym artyzm Iłłakowiczówny nigdy nie był naiwny. Pozorne rozwichrzenia były eksperymentowaniem form, ale zawsze artystycznie odpowiedzialnem. Co do treści natomiast, z każdym tomem było widoczniejsze statkowanie wyobraźni przez pogłębianie zainteresowań humanistycznych. Liryzm poetki obecnie ma charakter nadosobisty. Daleka myślą od kroniki bieżących przeżyć własnych, uderza w te struny swej duszy, które ją łączą z duszą zbiorową narodu, bądź przez legendę bohaterską, bądź przez tradycje historyczne, bądź przez wspólną religję. Nie można też uważać za czysto osobiste uczucie potrzeby łączenia się tęsknotą za światem pozagrobowym, któremu poetka poświęca przepiękne treny.

To, cobyśmy nazwali polityką („W dnie serca", „Zwycięstwo" i in.) ze względu na aktualność, jest zbyt poetyckie, aby tę nazwę usprawiedliwiało. Politykiem poetka nie jest, szuka symboliki dla rzeczy skomplikowanych w uproszczeniach personalnych. Wyobraźnia uczuciowa poety źle się czuje w świecie abstrakcji, dąży do zaczepienia się o konkret dla uczuć najbliższy. Na tem polega smak legendy, nie podlegający krytyce objektywnej, na tem też—charakter lokalny patrjotyzmu.

Bardzo znamienną pod tym względem jest pierwsza część zbioru liryk Iłłakowiczówny („Słowik litewski"), gdzie tęsknota za Litwą, kolebką poetki, wyrażająca się w cierpieniu osobistem, przechodzi w pieśń profetyczną, domagającą się zgody i złączenia Polski z Litwą. Dusza poetki przedostaje się na Litwę przez grób matki:

„Leżała matka w grobie nad jeziorem
myślała o córce, że już i na nią pora.
Mówiła do brzóz, do wierzb, do jaskółek:
„jakie to dziecko nieczułe!""

I dusza poetki widzi, jak się to skończy:

„Chmura nad mogiłkami przechodzi,
szepce, że już wiozą ją w łodzi,
z dalekiej przegranej bitwy
wraca martwa, w trumnie, na Litwę...
że granice od Polski nareszcie otwarte
dla niej, dla tej umarłej."

Stąd już niedaleko liryzmowi do polityki:

„Pora się godzić, panowie Litwini,
wszystko najgorsze już każdy uczynił:
szkodził drugiemu, jak tylko potrafił,
zmylał historję, męczył geografję..."

„Pora się godzić litewski narodzie!" Ten głos poetki ma swoją wymowę historyczną, artystycznie zaś brzmi pięknie, wskutek naturalnego połączenia uczuć osobistych z narodowemi, czego precedens mieliśmy w „Panu Tadeuszu".

Nie sposób w krótkiej notatce dać pojęcie o wartościach wielu innych liryk w tym zbiorze. Bardzo piękne są działy wierszy, zatytułowane: „Stare bóstwa", „Wnętrze pierścienia", „Treny", „Czysta woda". W tej ostatniej grupie liryk dusza poetki uspokaja się widokiem wód Dźwiny i wzrusza rzewnością:

„Odzwierciadla się dusza w pogodzie,
przegląda się w dniu bieżącym,
siada ostrożnie na brzegu
i stopą falę potrąca."

Jeżeli szranki twórczości poetyckiej mają przeznaczenie turnieju, to poezja Iłłakowiczówny szczególne znamię kładzie na współczesnej literaturze: wobec jej postawy twórczej uwydatnia się niekorzystnie zniewieściałość liryzmu mężczyzn. A przecież jest to Grażyna nowoczesna, nie kryjąca oblicza szyszakiem. Z. W.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Uroczystości, związane z obchodem 400-lecia urodzin ks. Piotra Skargi odbędą się w Krakowie w dn. 6 i 7 czerwca. W sobotę, 6 czerwca nastąpi otwarcie wystawy: „Skarga i jego wiek", urządzonej w salach Zamku Królewskiego na Wawelu. Wieczorem tegoż dnia w kościele Piotra i Pawła, w którym spoczywają doczesne szczątki ks. Piotra Skargi, odegrane będą utwory polskiej muzyki religijnej XVI i XVII wieku. Teatr im. Słowackiego wystawia misterjum religijno-moralne z czasów Skargi „Tragedja o Scyrulusie i jego trzech synach koronnych". W niedzielę, 7 czerwca o g. 9 rano w kościele św. Piotra i Pawła ks. metropolita krakowski Sapieha odprawi Mszę św. błagalną o beatyfikację ks. Skargi. Kazanie wygłosi ks. Stanisław Sopuch, prowincjał OO. Jezuitów. W południe w Złotej Sali Domu Katolic-

kiego odbędzie się uroczysta akademja, o godz. 18 pochód do odnowionej krypty ks. Piotra Skargi. Wieczorem przedstawienie w teatrze oraz uroczysta akademja w sali Związku Młodzieży Rękodzielniczej i Przemysłowej. Prócz tego urządzone zostaną osobne obchody dla młodzieży szkół krakowskich i wojska garnizonu krakowskiego.

*

Zamieszczony w zeszycie niniejszym artykuł prof. Feliksa Konecznego p. t. „Harmider etyk" jest drobnym fragmentem nowego dzieła tego znakomitego myśliciela. Po wydaniu dzieła „O wielości cywilizacyj" (1935), które stanowić będzie wybitną pozycję w dziejach historjozofji, prof. Koneczny przyszedł do wniosku, że naukę o cywilizacji trzeba uzupełnić i pogłębić etyką. Niestrudzony uczony przystąpił do opracowania monografji „O postępie moralności". Jest ona już na ukończeniu.

Po ukończeniu tej pracy prof. Koneczny ma zamiar zabrać się do opracowania dzieła o cywilizacji Bizantyńskiej oraz obszerniejszego jeszcze dzieła, którego znaczną część ma już gotową — mianowicie o cywilizacji żydowskiej.

ZE ŚWIATA SZTUKI

TEMAT W SZTUCE

„OBRAZ stał się czytelny [dziś, przyp. mój] tylko dla malarzy i specjalistów teorji. Ostatecznie skończyło się na fakturze... Kuchnia malarska i teorja stały się synonimem obrazu. Na sto obrazów 80 proc. stanowią pejzaże i martwe natury i to według panującej mody. Pomimo zróżniczkowania technik i kolorystyki, obrazy stały się jednogatunkowe i znudziły odbiorcę. Najciekawszym tematem w malarstwie, tak samo jak w literaturze, jest i pozostanie człowiek. Portret najlepiej malowany, lecz nie oddający psychiki portretowanego, jest pewnego rodzaju *contradictio in adjecto*. Również wszelka scena historyczna, fabularna, czy rodzajowa wymaga napięcia akcji, wyrazu i pomysłu. Jeżeli postulaty te nazwiemy literaturą, to w takim razie całe malarstwo od Giotta do impresjonizmu jest literaturą... Zdaje się, że cała niechęć do literatury wypływa z niechęci do człowieka, co w wyniku rodzi malarstwo antihumanistyczne... Malarze zadużo wymagają od publiczności, a zamało od siebie. Wysiłek malarstwa dzisiejszego jest niewspółmierny do wysiłku architektury, dekoracji i grafiki... Płytkie i nieszczęsne hasło sztuki dla sztuki podtrzymuje jedynie tylko obraz sztalugowy, przemawiający często językiem zakonspirowanym, szyfrem wtajemniczonych"!!.

Cytaty, przezemnie podane, pochodzą z odczytu, wygłoszonego w klubie „Bloku zawodowych art.-plastyków", a później zamiesczonego w miesięczniku „Arkady" (Rok II Nr. 3) przez dr. Lauterbacha, dyrektora Zbiorów Państwowych.

Odczyt dr. Lauterbacha spotkał się z ogólnym aplauzem, bo też trzeba przyznać, że prelegent wyraził w nim w formie przejrzystej i zrozumiałej pragnienia i poglądy wyznawane przez wielu odczuwających potrzebę zmiany dzisiejszego stanu rzeczy. Zapytany po odczycie, bezpośrednio i szczerze, dlaczego jako dyrektor instytucji państwowej zakupuje do zbiorów obrazy, które, zgodnie ze swem przekonaniem, potępił jako prelegent — odpowiedział, że jego stanowisko nie pozwala mu na uprawianie jakiejkolwiek „polityki" artystycznej gdyż mogłoby to wywołać wrażenie popierania tej, lub innej grupy artystów.

Być może, dyrektor Zbiorów Państwowych najmniej ma swobody i możliwości po temu, by odegrać w podobnym wypadku rolę reformatora i wychowawcy, lecz wydaje nam się zarazem, że właśnie takie stanowisko wymaga własnego zdania. A opinja indywidualna, rozpatrywana pod pewnym kątem widzenia, zawsze się musi wydawać stronniczą, gdy z dwojga rzeczy wybiera jedną. W każdym razie, jeśli nawet te czy inne względy nie pozwalają dr. Lauterbachowi postępować w myśl głoszonych przezeń poglądów, nie wątpimy, iż są one prawdziwe.

Zwróćmy się z kolei do tych, którzy pisząc wpływają na kształtowanie opinji publicznej. W „Głosie Plastyków", czasopiśmie związku zawodowego polskich art.-plastyków, czytamy: „Prawdziwy artysta nie jest ani reporterem, ani kronikarzem. Byle czego malować mu nie wolno... Dobrze zrównoważony artysta operuje jednocześnie kategorjami malarskiemi i kategorjami duchowemi. Czy malarz polski ma po polsku traktować europejskie tematy, czy też swojskie motywy na obcy język tłumaczyć? Kwestja ta wyda się państwu, jako obeznanym z teorją sztuki i wysoce kulturalnym, nieco może prostacką. Wiem o tem, ale tego prostactwa się nie wstydzę". A dalej: „Sztuka polska, jako sztuka narodu katolickiego, powinna być w Europie tem, czem Polska była zawsze: przednią placówką Zachodu".

Kto to pisze? Uśmiejecie się, gdy wam powiem: p. Waldemar George, innemi słowy: p. Jojne Jarociński. Oczywiście nie trzeba tego brać na serjo; p. Jojne tylko tak nas kokietuje, bo interesy idą coraz gorzej, a w Paryżu na mecenasowaniu sztuce abstrakcyjnej trudno dziś cośkolwiek zarobić.

Niezgorzej także wyczuwa, co w trawie piszczy, p. Mieczysław Wallis (Walfisz), w „Wiadomościach Literackich". Niedawno pisał, że publiczność tęskni za człowiekiem, za tematem w obrazie. Nawiasem mówiąc, „Wiadomości" najmniej, jak dotąd, podobne tęsknoty popierały, gdyż wypożyczały swą „Kolumnę Plastyki" artystom, którzy właśnie temat w malarstwie zwalczali, bo to „ułan i dziewczyna". Ostatnio p. Wallis informował nas o portretach Kramsztyka i chwalił go za jego malarstwo humanistyczne, podkreślając, że na Zachodzie tylko taka sztuka cieszy się teraz uznaniem. Dla p. Wallisa Zachód jest tylko pojęciem geograficznem i tu nie bez satysfakcji muszę przypomnieć, że już od 1931 roku, pisząc w „Myśli Narodowej", walczę o to, co p. Wallis i jemu podobni dopiero teraz „na Zachodzie" zobaczyli. Pod ręką mam właśnie wycinki moich artykułów. Pozwalam sobie zacytować wyjątki:

„Jesteśmy świadkami niebywałego przerostu techniki, zajmowania przez nią miejsc, należnych innym wartościom... Mojem zdanie niebezpieczeństwo nie tyle leży w wyolbrzymianiu znaczenia techniki, ile w chęci uczynienia z niej niezwiązanej z niczem wartości, mogącej istnieć samodzielnie i wypełniać sobą całkowicie zawartość dzieła (umyślnie nie używam słowa: treść)". (M. N. rok 1931, N. 56).

„Ciągle te martwe naturki, pejzażyk, zrzadka jakieś studjum głowy — to już się wszystkim setnie znudziło [w 1932-gim roku, uwaga! przyp. mój]. Wiem, wiem, cobyście panowie mi na to odpowiedzieli, zgodnie wyuczonym chórem: „nie chodzi o temat, najpoważniejsze zadanie artystyczne można przeprowadzić malując butelkę i cytrynę". Zdumiewające jest, jak długo potrafiono mistyfikować ludzi tem powiedzeniem. Taki jeden z dru-

gim, gdy to usłyszał, kładł uszy po sobie i odchodził zawstydzony, żeby jeszcze nie usłyszeć w dodatku o „literaturze“. Czy jakiś literat próbowałby w nas wmawiać, że niepotrzebne są dobrze skomponowane powieści, zwarte konstrukcyjnie dramaty, bo przecież zadanie artystyczne (literackie) można przeprowadzić i w malutkim wierszyku. Gdy tak się dzieje w literaturze, ludzie biją na alarm. Poco więc te okłamywania, w podobnym wypadku, w plastyce? Na rozwiązywanie problemów kolorystycznych, czy formalnych, na ćwiczenia ma się pracownie, a na wystawę trzeba przysyłać utwory, w których artysta potrafił nabyte doświadczenie wyzyskać“!!. (M. N. 1932 rok, N. 24).

„...trzeba zwrócić uwagę, że im formy są prostsze, niezłożone, tem bardziej, z natury rzeczy, stanowią własność międzynarodową... Malarz, uzmysłowiając plastycznie jakąś treść, ujawnia swój do niej stosunek, a tem samem objawia siebie. Im bardziej temat obrazu jest rozwinięty, tem większa okazja do objawienia siebie pełniej, bogaciej, odrębniej. Sposobów widzenia kwadratu nie może być wiele, natomiast twarzy ludzkiej, np., — mnóstwo. Dlatego też malarstwo abstrakcyjne nigdy nie stanie się terenem, na którym możnaby wykazać dobitniej własną odrębność narodową“ (1933 rok, nr. 29).

Powyższe słowa tłumaczą także dlaczego byłem zawsze zwolennikiem tematu w malarstwie. Czy mam cytować dalej? Proszę nie wystawiać mojej skromności autorskiej na próbę.

Szukając pedagoga dla społeczności artystów, pedagoga, któryby pomógł jej wyjść ze ślepej uliczki, ku malarstwu humanistycznemu, nie możemo pominąć milczeniem roli instytucyj wystawowych. Państwo może zachęcać artystów do pewnych tematów, udzielając im odpowiednich zamówień; Zachęta, lub IPS — wybierając na wystawy, wyróżniając, nagradzając na nich przedewszystkiem dzieła, które oprócz poziomu, wykażą się także uwzględnieniem szerzej pojętego tematu. Zapewne, nie należy oczekiwać od tych środków cudownego uzdrowienia, ale będzie to rozsądna i celowa „polityka” artystyczna, ta właśnie, której się wyrzekał dr. Lauterbach.

Trzeba tylko zaznaczyć wyraźnie, że na nic się zda, i będzie jedynie czczym wykrętem formalne zadośćuczynienie warunkowi tematu. Ten, kto dotychczas malował kwiaty, pejzaże i martwe natury, bez zbytnich wzdragań zgodzi się na zamianę. Człowiek, czy gruszka, śledź, czy pietruszka—dla niego „wsio ryba”, jak mówią Rosjanie. Wszystko dla takiego malarza jest zaledwie „pretekstem”. Postać ludzka, tak pojęta, bez uszanowania i zrozumienia tych specjalnych wartości i zagadnień plastycznych, które wraz z sobą artyście do obrazu przynosi, stanie się czemś całkowicie odczłowieczonem i zatraci cały swój sens. Nie wystarczy więc, gdy malarz człowieka z powrotem w swem dziele umieści i potraktuje go jako nowy zespół barwnych plam, trzeba, żeby o nim samym miał coś do powiedzenia. Chodzi o człowieka całego: z jego psychiką i wyrazem.

Tak to powinny *jury* instytucyj wystawowych rozumieć i takie dzieła, przy ich jednocześnie dobrym poziomie artystycznym, przedewszystkiem wyróżniać. Dopiero wtenczas ich działalność okaże się w pełni użyteczną i celową.

Właśnie sposobność miał potemu niedawno IPS, organizując wystawę z tematem: przedwstępny pokaz dzieł, przeznaczonych do wzięcia udziału w Olimpjadzie Berlińskiej, w dziale sztuki. Wystawa podobna stwarzała dla prac nadesłanych specjalne kryterjum: niedość było, w tym wypadku, wartości artystycznych, należało środkami plastycznemi istotę i rodzaj, obranego do odtworzenia sportu, dobrze i trafnie wyrazić.

Ten nowy warunek stawiał oczywiście przed artystami nowe trudności. Nie wszyscy podołali zadaniu; jedni okazali przynajmniej dobrą wolę, drudzy usiłowali wykręcić się sianem, wielu wybrało taki temat sportowy, by z człowiekiem jaknajmniej mieć do czynienia. Dawne nawyki, przerwanie kontaktu z życiem, niechętnie dotychczas podejmowana rola obserwatora przeróżnych zjawisk życiowych—wszystko to bardzo pracę utrudniało. Niejeden malarz dał w swej pracy świadectwo absolutnej nieznajomości sportu. Szczególną więc pieczą należało otoczyć tych, którzy okazali dobrą wolę i odwagę nieułatwiania sobie podjętej pracy, chęć zgłębienia istoty podjętego tematu.

Niestety prądy, nurtujące tak długo społeczeństwo artystyczne, a wyrażające się w anty-humanistycznem nastawieniu malarstwa, pozostały także nie bez wpływu i na sędziów tych dzieł. „Plastycy chętnie skorzystali z otwierającej się skarbnicy nowych motywów“ — pisze dr. Juljusz Starzyński w „Arkadach” (nr. 5, maj). — „Często jednak stały się one dla nich tylko pretekstem do rozwinięcia raz jeszcze zagadnień swej artystycznej specjalności, w której tkwią, świata poza nią nie widząc”. I będą tkwili nadal, świata nie ciekawi, będą nadal traktowali temat jako pretekst, bo sami sędziowie, z komisji nagród, w swej, wręcz nierozumnej pedagogice, ich ku temu popychają. Wśród wyróżnionych dzieł połowa — to właśnie „pretekst” Autor cytowanych powyżej słów, historyk sztuki, boleje nad stosowaniem tematu jako pretekstu jedynie, a wyrażając dalej swe osobiste upodobania, chwali właśnie płaskorzeźbę I. Klukowskiego, dla którego piłka nożna stała się niczem innem, tylko pretekstem „do rozwinięcia raz jeszcze zagadnień swej artystycznej specjalności”.

Koncepcja Klukowskiego, artystycznie ciekawa, jest jednak zarazem najdalej idącem zaprzeczeniem istoty sportu, który rzeźbiarz, sądząc z tytułu, chciał wyobrazić. Postacie piłkarzy, które powinny wyrażać pęd i ruch, są zrośnięte z tłem, przez tło wessane, a więc skrępowane i uwięzione. Nagrodzenie podobnej pracy dowodzi, iż członkowie *jury* nie rozumieją jeszcze swej roli.

Dlaczego także autor trzech fresków, odznaczonych najwyższą nagrodą, krąży raczej koło tematu, zamiast wprost ku niemu zmierzać? Dlaczego siedzący łucznik trzyma łuk w ten sposób, że ruch ten musimy uznać za sztuczny? Od grafików użytkowych wymaga się dokładnej znajomości przedmiotu reklamowanego w plakacie. Najlepszy artystycznie plakat na wyżymaczkę np., jeśli skłamie konstrukcję reklamowanej rzeczy, zostanie bez wahania na konkursie plakatu odrzucony. Dlaczego tylko malarzom wolno blagować i odnosić się z lekceważeniem do obranego tematu? Dlaczego na innym fresku, dziewczyna schylająca się nad tarczą ze strzałami, ma nad sobą, niczem nie usprawiedliwioną i niewiadomo skąd zjawiającą się draperję? Tu żadna rzecz nie może mieć tylko artystycznego uzasadnienia.

Sędziowie raz wreszcie powinni się zdobyć na odwagę odrzucenia dzieła, nawet b. dobrego, jeśli ono lekceważy temat, lub wykazuje jego nieznajomość. Ale to wydaje się dla nich bohaterstwem ponad siły.

Nagrody sportowe: dyplomy, puhary i t. p. mogą być na takich wystawach brane pod uwagę, lecz nie powinny wyrastać w hierarchji wyróżnień nad dzieło, które wszystkiemi środkami, sobie dostępnemi, wyraża w plastyce ideję sportu.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„GŁUPI JAKÓB"

NIKT chyba nie przeczy i nigdy nie przeczył, że „Głupi Jakób" Tadeusza Rittnera jest bardzo dobrą sztuką teatralną, i że posiada bardzo wybitne zalety literackie. Owej bardzo dobrej jednak skądinąd sztuki niepodobna uważać za arcydzieło polskiej literatury dramatycznej. Niepodobna chociażby już z tego powodu, że nieboszczyk Rittner napisał „Głupiego Jakóba" początkowo po niemiecku, wystawił sztukę ową najpierw z powodzeniem w Wiedniu, i dopiero po owym zagranicznym sukcesie przetłumaczył ją na język polski. Przetłumaczył *notabene* zgoła nienajświetniej.

Pisał po polsku może i dobrze, ale tłumaczył źle, co się często zdarza nietylko Polakom pochodzenia obcego, ale nawet najrodowitszym. Sztuka przekładania z języka jednego na drugi wymaga specjalnych zdolności. Rittner najwidoczniej ich nie posiadał. Polszczyzna „Głupiego Jakóba" daleka jest niestety bardzo od polszczyzny Zabłockiego, Fredry, Słowackiego, Zapolskiej, Perzyńskiego, Miłaszewskiego, czy Grzymały-Siedleckiego. Jest to polszczyzna, nie tyle może galicyjska, ile austrjacka. Roi się ona nie od jakichś charakterystycznych prowincjonalizmów, (które nie byłyby bynajmniej niepożądane, gdyż nadawałyby utworowi wyraźny koloryt lokalny, jak nadają go naprzykład „Moralności pani Dulskiej", czy „Panu Tadeuszowi") lecz poprostu od błędów językowych, od germanizmów przypominających gwarę wynarodowionych austrjackich biurokratów oraz styl urzędowych „kawałków" koncypienckich. Bohaterowie „Głupiego Jakóba" nie cieszą się z czegoś, lecz „na coś", używają nie po polsku, lecz po niemiecku czasownika „musieć" i t. p. Mówią źle po polsku wcale nie dlatego, żeby autor chciał nam unaocznić ich zniemczenie, lecz poprostu dlatego, iż sam Rittner podczas tłumaczenia popełniał nieświadomie grube germanizmy. Nie przeszkadza to oczywiście bynajmniej „Głupiemu Jakóbowi" być utworem pod wielu względami znakomitym. Świadczy jednakże o egzotyczności, o niepolskości tej komedji, którą niektórzy recenzenci wymieniają jednym tchem, obok najcenniejszych klejnotów dramatopisarstwa narodowego, zestawiając nazwisko Rittnera z nazwiskiem Wyspiańskiego.

Im więcej razy oglądam „Głupiego Jakóba" na scenie, tem bardziej egzotyczne wydaje mi się tło geograficzne tego utworu. Wieś, której stałym mieszkańcem jest praktykujący lekarz, doktór medycyny, nie należy i tembardziej nie należał za czasów przedwojennych w stosunkach galicyjskich do zjawisk typowych. Równie nie typowem, a właściwie jeszcze mniej typowem zjawiskiem na wsi galicyjskiej jest „gospoda", utrzymywana przez chrześcijankę. Nie typowem zjawiskiem jest również więcej niż familjarna zażyłość owej oberżystki z przedstawicielami okolicznej szlachty oraz inteligencji.

Wiejskie „gospody" galicyjskie nazywają się zazwyczaj poprostu karczmami. Właścicielkami ich bywają zazwyczaj żydówki. Lokale owe nie posiadają tego klubowego charakteru, jaki Rittner nadał lokalowi pani Katarzyny. Autor kazał być „sztamgastem" owej gospody nietylko doktorowi, który był niegdyś, podobnie jak szambelan, kochankiem właścicielki, nietylko rządcy szambelańskich dóbr, wykształconemu agronomowi, który jest właścicielki owej synem, nietylko dymisjonowanemu oficerowi, szwagrowi szambelana, będącemu człowiekiem upadłym, ale także bogatemu paniczowi, przedstawicielowi okolicznej „złotej młodzieży", synowi dygnitarza ziemiańskiego. Nie zamierzam wcale utrzymywać, jakoby wymienione zjawiska były w stosunkach galicyjskich absolutnem niepodobieństwem. Ale Rittner nie uwydatnił niczem ich charakterystycznej fenomenalności. Przedstawił je tak, jakby były zjawiskami typowemi, normalnemi. Wolno zatem wnioskować, że akcja sztuki nie rozgrywa się na terytorjum dzisiejszej „Małopolski Wschodniej", lecz w jakiejś innej prowincji, w jakimś innym „kraju koronnym" c. k. monarchji Austrjacko-Węgierskiej.

Uwagi powyższe dotyczą wyłącznie tła obyczajowo-geograficznego, na którem smutna komedja o „Głupim Jakóbie się rozgrywa. Jeżeli bowiem idzie o postaci ludzkie, o psychologję, o tak zwane „charaktery", to wszyscy bohaterowie „Głupiego Jakóba", z bohaterem tytułowym i nawet Hanią włącznie, są zjawiskami wyraźnie z woli autorskiej fenomenalnemi, oryginałami możliwymi wszędzie, a więc i w Galicji.

Odtworzenie charakteru fenomenalnego udaje się zazwyczaj dobrze tylko aktorom bardzo wysokiej klasy. Żeby Jakób nas wzruszał na to trzeba Jaracza. P. Hnydziński być może kiedyś do roli owej dojrzeje. Narazie posiada do niej tylko idealne warunki zewnętrzne. P. Romanówna miała jak na Hanię za mało fizycznej energji, wyglądała zanadto po miejsku, za mało po wiejsku. Nieboszczka Ordon-Sosnowska posiadała daleko więcej niezbędnej tu zamaszystości. Ale teraźniejsze wznowienie „Głupiego Jakóba" posiada trzy potężne atrakcje: grę Junoszy-Stempowskiego w roli szambelana, grę Dulębianki w roli szambelańskiej siostry oraz grę Maszyńskiego w roli szambelańskiego szwagra. Z ról drobniejszych została właściwie obsadzona rola pani Katarzyny. Powierzono ją p. Helenie Buczyńskiej, która wywiązała się z niej—jak zwykle—wybornie. P. Stanisław Łapiński w roli Prezesa wyglądał raczej na dygnitarza cechowego, niż na ziemianina. Wyreżyserował sztukę bardzo starannie p. Edmund Wierciński. Bardzo dobre dekoracje skomponował p. Stanisław Jarocki. S. G.

„MILJONERKA"

„MILJONERKA" Bernarda Shawa, wystawiona w Teatrze Polskim nie należy do arcydzieł tego znakomitego skądinąd pisarza. Na utworze tym znać wyraźnie wyczerpanie. Nowe koncepty robią wrażenie wysilonych. Parę lepszych to reminiscencje z dawnych shawowskich sztuk. W sumie widowisko raczej niecierpliwiące niż zabawne, pomimo całej wirtuozerji autora w operowaniu paradoksami. Za dobrze już znamy jego sztuki djalektyczne, żebyśmy mieli się zachwycać szczególniej samym stylem jego myślenia. Żeby nas Shaw mógł zainteresować żywiej, musiałby się zdobyć na odnowienie stylu nowemi sztuczkami. W „Miljonerce" zaprezentował nam tylko żonglerską rutynę, a to stanowczo do wzbudzenia w nas entuzjazmu nie wystarcza.

Bohaterką komedji (sprawiającej chwilami wrażenie pozbawionego muzyki libretta operetkowego, chwilami zaś niesmacznej parodji udjalogowanego kazania) jest córka arcybogatego bankiera, który wzorując się na ojcu szekspirowskiej Porcji, zastrzegał w testamencie, że tylko ten może zostać jej mężem, kto się podda pewnej próbie. Próba owa jest nieco odmienna od szekspirowskiej. Ojcu Porcji chodziło o to, żeby córka jego wyszła za człowieka nie grzeszącego chciwością. Ojcu Epifanji (takie imię nosi bohaterka shawowska) idzie o coś wręcz przeciwnego: o to aby przyszły jego zięć umiał robić pieniądze. Ten tylko poślubi jego córkę, kto z kwoty 150 funtów sterlingów potafi zrobić

w przeciągu—o ile dobrze pamiętam — sześciu miesięcy 150,000 funtów sterlingów.

Mężem Epifanji został młody, przystojny, imponująco zbudowany bokser, który wymagany przez testament warunek wypełnił przy pomocy oszustwa: puszczał w obieg t. zw. „latające czeki", czyli czeki bez pokrycia, wystawiane po zamknięciu banków, w dnie przedświąteczne. Pokrycie wpłacał z samego rana zaraz po święcie. Przez święto operował pieniędzmi, ryzykując kryminał. Przy świetnych po zorach kochanka, mąż Epifaji nie posiadał niestety odpowiedniego temperamentu, aby zaspokoić jej miłosne wymagania. Rozczarowana niewiasta usiłuje obudzić miłość w innych mężczyznach. Kochanka jednak znaleść nie może, gdyż na drodze swojej spotyka tylko pochlebców i pasorzytów. Mężczyźni prawdziwi, godni jej serca, stronią od niej gdyż jest dla nich za dumna i za bogata. Wreszcie po rozwiedzeniu się z bokserem i po zboksowaniu dotkliwem jednego z wielbicieli zrozpaczona miljonerka natyka się na człowieka jakiego jej potrzeba.

Jest to młody lekarz, egipcjanin, chodzący w czarnym tużurku i czerwonym fezie, asceta, gorliwy mahometanin. Matka jego była ubogą praczką. Na łożu śmierci wymogła od syna przyrzeczenie, że ożeni się on tylko z taką kobietą, która posiadając zaledwie 200 piastrów potrafi z tych pieniędzy oraz z własnej pracy utrzymać się przez 6 miesięcy.

Miljonerka z dwustu piastrami w kieszeni przyjmuje w zrujnowanej oberży posadę pomywaczki. W przeciągu pół roku przeistacza, dzięki odziedziczonej po ojcu przedsiębiorczości, ruderę w palace-hotel i zostaje hotelu owego właścicielką. Tymczasem egipcjanin zamiast kusić się o zrobienie ze stu pięćdziesięciu funtów stu pięćdziesięciu tysięcy rozdarowuje poprostu kapitał ów wdowie po swoim profesorze. Nie przeszkadza mu to wcale zostać w końcu sztuki mężem miljonerki. Bokser, jak się okazuje, nie był wcale takim niedołęgą w sprawach miłosnych, za jakiego przedstawiała nam go w pierwszym akcie jego żona. Pod koniec sztuki widzimy, że poprostu nie pasował do miljonerki umysłowo. Znajdzie on kompletną harmonję małżeńską w pożyciu z gąskowatem kobieciątkiem, które potrafi uszczęśliwić.

Taka jest w najogólniejszych zarysach treść sztuki, posiadającej jeszcze parę epizodów ubocznych, bardzo luźno przyfastrygowanych i potrzebnych jedynie do wydłużenia przedstawienia. Cała jedna odsłona (rozgrywająca się w norze angielskiego krawca-chałupnika) dałaby się z wielkim pożytkiem dla spektaklu bezboleśnie usunąć.

Główną rolę gra pani Modzelewska. Nie wykorzystuje w pełni (zapewne z winy reżysera) obszernego pola do popisu, jakiem rola owa dla niej być powinna. Rusza się po scenie z nieumotywowaną niczem niezgrabnością, niezbyt udatnie robioną. Zmysłowy temperament niedosyconej erotycznie kobiety zastępuje niewiadomo z jakiego powodu sztuczną, przesadną męskością gestów. Bardzo dobrym bokserem jest pan Pichelski. Pan Kurnakowicz w roli zboksowanego wielbiciela-intelektualisty dokazuje zabawnie, ale gra jego niewiele ma wspólnego z intencjami autorskiemi. Pan Wyrzykowski w niewdzięcznej roli egipskiego lekarza również intencyj autorskich należycie nie wydobywa. Na komplementy największe zasługują tylko wykonawcy ról epizodycznych: pani Krzymuska i pan Małkowski. Reżyserja pana Zienkowskiego efektowna, ale niedopracowana. Dekoracje stosowne. Przekład chropawy. S. G.

ERRATUM

Ostatni ustęp II rozdziału w artykule p. Stefana Godlewskiego p. t.. „O tablicę ku czci Rzeckiego", zamieszczonym w poprzednim numerze naszego pisma brzmieć winien:

„Stary sklep znajdował się, jak wiemy, o jeden dom dalej od wjazdu w Krakowskie Przedmieście, a zatem pod numerem dziewiątym. Najprawdopodobniej Prus umieścił go w sąsiedztwie bezpośredniem istniejącej tam za jego czasów kięgarni Wendego, gdzie również bywał częstym gościem. Obok księgarni owej, jak wiem od p. Jana Wortmana, mieścił się za czasów pisania „Lalki" sklep galanteryjny.

FILM

ATLANTIC: „Upiór na sprzedaż", reż. René Clair.

Ten film René Claira różni się znacznie od jego filmów poprzednich, nietylko poziomem, ale i rodzajem, Clair, pionier i wynalazca w dziedzinie filmu dźwiękowego, twórca nowego, własnego stylu, który wywołał liczne naśladownictwa, nie dał tu nic nowego, nie powtórzył nawet samego siebie. Forma utworu, ujęcie filmowe tematu jest zgoła konserwatywne; słowo: szablon byłoby może określeniem przesadnem i krzywdzącem—dość, jeśli powiemy, że reżyserja opiera się na dobrych, lecz doskonale znanych wzorach. Mimo to film ogląda się z przyjemnością, bo sam pomysł utworu jest doskonały, scenarjusz bardzo inteligentny i bardzo dowcipny. Nowe, świeże „kawały" posiadają znaczny ładunek niewyświechtanego jeszcze humoru, to też budzą szczery oddźwięk na widowni.

Punktem wyjścia dla zabawnych zdarzeń staje się wplecenie wątka fantastycznego (pokutujący duch) w świat realny, normalnych, zwykłych ludzi. Konfrontacja fantazji z trzeźwą umysłowością dzisiejszych mieszkańców ziemskiego padołu, pozwala reżyserowi na pokazanie zabawnej reakcji tych ostatnich na sprawy nadziemskie. A że rzecz dzieje się w Ameryce (zamek wraz z duchem nabył bogaty amerykański snob) dostaje się Amerykanom, których rozmaite zwyczaje i słabostki Clair wyśmiewa, zresztą bez żółci.

Nie bez sentymentu została potraktowana postać młodego, szkockiego arystokraty, chociaż nie mamy żadnych wątpliwości, że to przedstawiciel kasty zrujnowanych nierobów, pozatem niedojda. Puścił także Clair przy okazji perskie oko w stronę filmu niesamowitego, a na początku pokazał parodję obrazu historycznego.

W tem spojrzeniu na świat wykpisza i trochę niedowiarka poznajemy może dawnego Clair'a, który się teraz zagubił we współpracy z filmem obcym, angielsko-amerykańskim, i zrezygnował (oby chwilowo) z własnego pojmowania filmowej rzeczywistości, nawet koniec utworu zamykając sakramentalnym pocałunkiem pary amantów.

HOLLYWOOD: „Księżniczka Czardasza" film niemiecki.

Dość wesoły film, osnuty na melodjach ze znanej operetki Kalmana, choć muszę przyznać, że widziałem utwory tego rodzaju, a nawet z tą samą aktorką (Martą Eggerth) subtelniej zrobione. Niepoślednią zaletą „Księżniczki Czardasza" jest dobre tempo i ciągła zmienność treści plastycznej ekranu. Martę Eggerth źle tu fotografują; ona sama śpiewa, jak zwykle, — pięknie, a do ożywienia całości walnie się przyczynia mały komik w roli wielbiciela śpiewaczki.

KANDYD

OD WYDAWNICTWA

Przyjaciołom „MYŚLI NARODOWEJ", którzy zgóry opłacili pierwsze półrocze lub cały rok 1936, oraz tym, którzy ponadto osobnemi wpłatami zasilili nasz FUNDUSZ PRASOWY, składamy serdeczne podziękowanie. Jednocześnie upraszamy wszystkich czytelników pisma o wczesne odnowienie przedpłaty za kw. III, który nadchodzi, i za drugie półrocze.

Wobec wyniszczenia ekonomicznego sfer oświeconych obozu narodowego i bojkotu wydawnictw narodowych polska prasa ideowa musi odwoływać się do społeczeństwa o zasilenie funduszu wydawniczego. Pamiętać należy o tem, że prasa sanacyjna i filosemicka (liberalna, socjalistyczna i bolszewicka) ma oparcie w potężnych subsydjach.

Przesyłki pieniężne dla „Myśli Narodowej" należy wysyłać na jej konto w P. K. O. nr. 3.105.

POKŁOSIE

ANKIETY

Z RADAMI, jakie władza wykonawcza może otrzymać od swoiście dobranych Sejmu i Senatu, sprawa stoi kuso. To jest widoczne dla każdego i tem się tłumaczy zwoływanie narad specjalnych: niedawno mieliśmy konferencję gospodarczą, a ostatnio znów naradę poświęconą kulturze wsi. Na obu tych naradach szereg specjalnie dobranych i zaproszonych osób wypowiedział szereg poglądów i dezyderatów, które będą, lub nie będą brane pod uwagę przez czynniki „miarodajne" czyli władzę dzierżące. Od konferencji gospodarczej upłynęło już sporo czasu i nie bardzo jakoś słychać, żeby jej uchwały coś zdziałały, a jedna z najważniejszych komisyj, mająca się zająć osławionym etatyzmem gospodarczym, szuka narazie nowego przewodniczącego, bo dawny poszedł gdzieindziej, nie rozpocząwszy prac.

Niewiadomo, jakie będę skutki konferencji wiejskiej i co z uzyskanych informacyj będzie spożytkowane, ale wogóle nie należy znaczenia takich ankiet przeceniać, i nie należy też zarzucać na ich korzyść dawnych źródeł informacyjnych, które wykazały swą wydajność. Do nich należy np. wolna i nie terroryzowana represjami prasa. Z niej bez specjalnej ankiety mogłyby się władze najwyższe dowiedzieć bardzo wiele, chociażby nawet w sensie negatywnym t. zn. czego na wsi robić nie należy. Więc np. żeby administracja nie łamała kulturalnej inicjatywy wsi, nie paczyła charakterów, zwłaszcza młodzieży, nie niszczyła nieraz wieloletniego dorobku rozmaitych instytucyj jedynie w celu ich opanowania. Mówiono o tem na konferencji, ale byłoby z pewnością pożyteczniej, gdyby można było o tem mówić stale i bez obawy w pismach i żeby te głosy jakiś skutek wywierały. Konserwatywne wileńskie „Słowo", od pewnego czasu rozgoryczone, zamieszcza np. taki obrazek ze wsi na Wileńszczyźnie:

„W rejonie powstaje oddział Legjonu Młodych, złożony z pięciu ludzi, pięciu najbardziej podejrzanych typów, w tem trzech karanych kilkakrotnie za kradzież i dwóch pastuchów o politycznych aspiracjach. Bogobojni ludzie parafji Ostrowieckiej myślą sobie: co to będzie? — Co ma być! Człowiek, który wygłasza wyraźnie komunistyczne hasła, chadza teraz w pięknym mundurze i czapce, przepasany pasem i naramiennikami, pewny siebie, dumny. Oglądają się za nim dziewczęta, a inni chłopcy zazdroszczą. A przecież cała okolica niedawno jeszcze nazywała go poprostu „złodziej". Dziś pan ten bywa na herbatce u urzędników".

Wszyscy w kraju wiedzą, że nie jest to znów jakiś wyjątkowy obraz „politycznej" działalności na wsi. Czy wobec tego zwoływanie ankiet na temat kultury wiejskiej nie jest hypokryzją? A może to tylko inny „resort"?

O ile chodzi o pozytywne wskazania, co i jak należy na wsi robić, to asumpt do rozważań mógł dać referat p. Władysława Grabskiego o właściwościach życia wiejskiego. Zbyt mało się nad temi sprawami zastanawiamy, nie zdajemy sobie sprawy jak głęboko sięgają różnice w życiu dzisiejszych miast, oczywiście większych, a wsi, że jak prof. Wł. Grabski sformułował, człowiek miasta jest człowiekiem techniki, wiejski zaś człowiekiem przyrody.

Z techniki naszej jesteśmy dumni, często słusznie, ale nie wynika z tego żeby zachwycać się oddaleniem się do rytmu przyrody, do czego przerost techniki prowadzi i świadomie dąży. Duma z techniki nie powinna przesłaniać nam widoku przemożnej przyrody, bo to rzeczywiście musi doprowadzić do zwyrodnienia. Cuda techniki bledną zupełnie przy porównaniu z codziennemi zjawiskami i tworami przyrody. Najwspanialszy nasz samolot jest w porównaniu z najgorzej latającym wróblem aparatem poprostu śmiesznie nieudolnym. Chemia czyni też rozmaite cuda, ale żadne ludzkie laboratorjum nie jest w stanie pochwalić się takim rezultatem, co pierwsza lepsza roślina, która w ciągu kilku godzin potrafi przy odrobinie ciepła i światła z miligramowych porcyj surowców zbudować nową łodygę kwietną. A w jednym z podręczników mechaniki można wyczytać, że technicy wtedy dopiero zaczęli należycie cenić sprawność zwykłego konia, zasilanego paru garściami owsa, kiedy powstały pojazdy mechaniczne i przekonano się ile to „koni" parowych trzeba, żeby pociągnąć wóz po piachu, lub pod górę. Potężna jest tajemnicza siła życia, sprawność tworu żywego, organizmu. O namiastkowem życiu miejskiem i jego głębokim wpływie na charakter człowieka dałoby się wiele pisać, a dziś gdy odbywa się generalne „przewartościowywanie wartości" dobroczynny wpływ zgodności życia z naturalnym rytmem przyrody powinien być szczególnie brany pod uwagę.

Wieś jest naturalnym terenem życia człowieka i pozostaje nim, mimo wszelkiej urbanizacji. Po dowód fizyczny nie trzeba daleko chodzić, wystarczy przyjrzeć się wyglądowi mieszczuchów, wracających z letniska. Moralny też nie jest wątpliwy. Powinniśmy się starać utrzymać ludność na wsi i w miastach średniej wielkości, dostatecznej do tego, żeby umożliwić pewne strony życia zbiorowego. Ale do tego oczywiście trzeba wielkiej pracy nad kulturalnem podniesieniem wsi, pojętem bardzo szeroko. Nie zapominajmy, że narody narastają na wsi, w wielkich miastach dosłownie wymierają.

ARGUS

NA MARGINESIE

Sowiecka „Prawda" w Moskwie uznała za przesadny system nauczania według bolszewickiego reżimu, prowadzący do takich egzaminów, jak przytoczony w poniższym opisie:

„Towarzysz Krowołapow, delegat leningradzki, opowiadał na kongrasie Komsomołu, że w pewnej szkole dziewięcioletniemu mało uzdolnionemu i ciężko uczącemu się dziecku nauczyciel zadawał pytania, dotyczące klasowego pochodzenia jego dziadka, częstości zachodzenia w ciążę jego matki, ustosunkowania się jego (dziewięcioletniego dziecka) do „piatiletki", uprzemysłowienia kraju i kolektywizacji. Ponieważ dziecko odpowiedzi na pytania te nie dało, otrzymało ocenę: „społecznie zaniedbane".

Rzecz szczególna, że my tutaj czytamy tę relację bez zdziwienia, jako coś dobrze sobie znanego. Nam towarzysz Krowołapow nie zaimponuje!

*

Żydzi są skromni i nie lubią kiedy na nich wyłącznie zwrócona jest uwaga. Potrafili tedy tak sprawę pokierować, że już dzisiaj Arabowie zajęli się raczej Anglikami. Dogodniej jest w krytycznej chwili znaleźć się w większem towarzystwie. Za parę tygodni będą mówili z oburzeniem:

— Arabowie walczą z żydami?! Nigdy! Oni nas brali za Anglików.

Metoda w Polsce wypróbowana: antysemici—to „wrogowie mocarstwowej Polski". Niechaj Polska z nimi walczy.

*

Na wagonie lwowskim w pociągu, wiozącym wycieczkę do Częstochowy, ktoś wypisał kredą: „Precz z żydami".

Żydzi donieśli ks. Mauersbergerowi, że był to napis wrogi rządowi. Nie trzeba nigdy dowierzać ścisłości informacyjnej żydów, choćby dlatego, że źle czytają po polsku.

*

Jednemu z posłów tak się podobał list p. wojewody Jaroszewicza do redaktora „W. Dziennika Narodowego", że postanowił wystąpić w Sejmie z wnioskiem, aby w tym kierunku iść dalej i ustawowo skasować funkcje redaktorów w dziennikach; redakcja naczelna należałaby odtąd we wszystkich dziennikach do urzędów, sprawujących cenzurę.

Brak takiej ustawy stanowił lukę, która — jak się to zwykle o luce mówi—„dawała się dotkliwie odczuwać". Cenzura brała pod uwagę tylko to, co było napisane, a nie miała prawa interesować się tem, czego w piśmie niema.

TREŚĆ:

Harmider etyk *F. Konecznego.* — Socjalizm, komunizm, anarchizm *J. K.* — Nowe rewizje p. Górki *K. M. Morawskiego.* — Autobiografja Skargi *Ign. Chrzanowskiego.* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura („Słowik litewski" *Z. W.* itd). — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Teatr *S. G.* — Film *Kandyda* — Pokłosie *Argusa.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM